



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Na ulicach pusto, cicho, senno...

Zaledwie gdzieniegdzie przesunie się jakiś cień ludzki, szybko, gorączkowo — i jeszcze szybciej znika, przepada, ginie we wnętrzu tych murów, co przed chwilą jeszcze obojętne, zwykłą obojętnością głazów, sterczą teraz, jakies uroczyste, zapatrzone w przyćmiony nocą szafir nad sobą, zdziwione same i dziwiące tego, ktoby im się obecnie chciał przyrzec.

Nie północ to jeszcze — nie godzina spoczynku powszedniego — nie śmierć blada, straszna, bezębna, która spojrzeniem pustych swoich oczu mrozi, zabija i w grób kładzie ciała, a ciągnie za sobą długi szereg smutnych duchów tam, wysoko, w przestrzeń — dla porachunku!...

A przecież dyszące życiem i gwarem miasto ucichło nagle z pierwotnym zaraz mrokiem — zatrzymało się w swoim wirze codziennych zapasów — odrzuciło na bok cały używany do nich rynsztunek: zarówno szlachetną mądrość, jak wybieg mizerny — kazało umilknąć i ciężkiemu oddechowi wysiłku pracującego biedaka i pełnemu zadowolenia westchnieniu bogacza....

Dlaczego?

Jakaż-to wielka a można dłoń spoczęła na tem ruchliwym zbiorowisku ludzkim i ono, niby ptasze przykryte ręką człowieka, struchlało, onie miało, sposłuszniało zaprzestając trzepotania swemi zmęczonemi skrzydłami?...

Za smutku nie miała czasu wypłynąć zpod powiek — głośna skarga rozpaczy dobiegła do warg zaledwie — okrzykowi tryumfu lub szału za brakło siły oddechu.

Czemu?

Czy to miasto umarło? Czy martwota owa na-  
zawsze już na niem będzie spoczywać?...

Niel... Jutro już, pojutrze, a może nawet za  
chwilę, walka zawrze nanowo, skargi wydostaną  
się z głębi piersi, wstrzymana iza pobiegnie  
w swoją drogę po licach — o! pobiegnie z pewno-  
ścią!

Ale tymczasem z powietrza spływa jakiś bal-  
sam kojący, jakaś nadzieja wielka, co ścisza ser-  
ce radośnie, a z tajemniczych, nikłych, mdłych  
i na miliony cząsteczek rozbitych dźwięków, ja-  
kie nawet cisza zawsze w sercu zachowuje i do  
ucha ludzkiego przynosi — układa się zwol-  
na—zwolna—jakis dźwięk jeden, pełny, wyra-  
źny, coraz wyraźniejszy:

*Hosanna!*

I dźwięk ów nabrzmiewa, rośnie, olbrzymieje,  
wzbiera jak fala i jak ona rozlewa się szeroko,  
ogarniając świat cały od końca do końca.

*Hosanna! Hosanna!*

I rzekłbyś, że przed oczyma twemi migają ja-  
kieś skrzydła jasne, że błyska twarz jakaś, zwr-  
cająca się najpierw ku tym, co biedni, smutni  
a cierpliwi; w owym zaś jednym, potężnym  
dźwięku choralnym, rozróżniasz po chwili jakiś  
słodki głos drugi:

*„Hosanna! Oto wybiła wasza godzina. Powstań-  
cie z bólów waszych, a zwróćcie się tam oto i pa-  
dnijcie w proch, bo przyszedł jeden tylko, któ-  
remu pokłonić się warto—on—wielki—nieśmier-  
telny—Bóg!“*

\* \* \*

Któż głosów tych nie słyszał, wrażeń takich  
nie doświadczał w cichy, uroczysty wieczór wigi-  
lijny?

Przypomnieliśmy je wam z powodu, że numer  
ten właśnie datę wigilijną nosi. A jednak może  
lepiej było zamiast nich napisać krótko: „Dosiego  
roku!“ Jakże-bo trudno będzie nam teraz do-

stroić się do poufnej naszej gawędy o sprawach  
bieżących?

A spraw tych mamy dziś niemało.

Najciekawszą ze wszystkich, na skalę powsze-  
dniej ciekawości, najbardziej zajmującą, jest spr-  
wa „Kiermaszu“, łącząca w sobie zabawę z fi-  
lantropią. Pociągnęła ona ku sobie całą War-  
szawę.

Kiermasz wogóle był dobrym pomysłem i przy-  
niósł Towarzystwu Dobroczynności dochód prze-  
wyższający w trójnasób zyski osiągane dotychczas  
z dorocznych a przeżytych już nieco „bazarów“.  
Warszawa zaświadczyła raz jeszcze, że nie bez  
przyczyny ma w herbie *syrenę* i do żeńskiego rodza-  
ju należy. Obiecano jej nowość: i ona też natych-  
miast wysłała dla jej zobaczenia tłum cały cieka-  
wych — tłum aż przeszło trzydziesto-tysięczny!

Już sama miejscowosć na kiermasz obrana  
(zabudowania cyrkowe na Ordynackiem) dawała  
niejako rękojmię, iż to nie będzie zwykła edy-  
cja targu bazarowego, w oprawie—jak dotąd —  
Sal Red. lub Resursy Obyw., ale że to coś napra-  
wdę nowego. Inicytywa wyszła z łona t. zw.  
„Komitetu zabaw“ Dobroczynności, zostającego  
pod przewodnictwem Wincentego hr. Walewskie-  
go; jemu się też należy zasługa starań około  
urządzeń wewnętrznych. A zrobiono w tym wzglę-  
dzie wszystko, co zrobić się dało, i nie szczędzo-  
no zarówno kosztów, jak trudów! Arenę cyrkową  
na wysokości pierwszego piętra przykryto pomo-  
stem, tworząc w ten sposób dwie kondygnacje,  
górną i dolną, w celu pomieszczenia sklepów  
kiermaszowych i przysporzenia jak największej  
ilości miejsca zwiedzającym. Pasaż dolny dokoła  
areny zamieniono przy pomocy mnóstwa kwia-  
tów i krzewów w żywą aleję; na miejscu orkie-  
stry stanęła mała i gustowna scenka dla kon-  
certów i widowisk. Niedosć tego: na wysokości ga-  
leryi, wokoło halli cyrkowej, zbudowano pomost  
dla pochodów charakterystycznych. I tego jesz-  
cze niedosć: ustawiono dwie fontanny i około

trzydziestu sklepów dla zaimprovizowanych „kupcowych“ i rzeczywistych kupców.

W sklepach nie brakło pomysowości. Takim dobrym pomysłem było w sklepie hr. Walewskiej zastąpienie zużytej tomboli nowym zupełnie sposobem loteryi. Oto po złożeniu stosownej opłaty mógł każdy z widzów własnoręcznie ciągnąć sobie fant z odpowiedniego kosza, w którym przedmioty wszystkie poobwijane były starannie i poprzesypywane mnóstwem obrzynków papierowych, naturalnie, dlatego, aby, o ile możliwości, utrudnić ich rozróżnienie w palcach. Do loteryi tej cisnęły się całe roje amatorów, a za przykładem hr. Walewskiej poszło następnie wiele innych sklepów, osiągając równie dobre rezultaty.

Mógłbym na tem zakończyć moje sprawozdanie kiermaszowe; co najwięcej pozostawało może jeszcze dodać parę frazesów na pochwałę zacnych serc tej publiczności, która powodowana jedynie chęcią otarcia łez bliźnim, z prawdziwym poświęceniem śpieszyła do halli kiermaszowej, aby... i t. d.

Ale czy byłaby to prawda? Czy dziesiąty przynajmniej z owego trzydziestotysięcznego tłumu „kiermaszników“, tłocząc się z prawdziwym boków swoich poświęceniem w górnej sali kiermaszowej, pomyślał choć przez chwilę o biednych?... Powie ktoś może, iż to wszystko jedno, bo, tak czy owak, zawsze cel został osiągnięty. Zapewne, ale to faktu nie zmieni, że ogół tych mas ciągnęła na kiermasz nadzieją zabawy. A czy się bawiono? Otóż — powiedzmy otwarcie — że strawa, jaką liczne te rzesze na kiermaszu karmiono, była wcale skromna i dosyć jałowa. Urządzający starali się przystosować wszystko do ogólnego charakteru i samej nazwy „kiermaszu“. Były tam więc sztuki magiczne, trochę śpiewu i deklamacyi, trzy przedstawienia amatorskie i wreszcie pantomina „pochód weselny japoński“.

Śpieszono dla samej nadziei zabawy. Stare *circensens* zrobiły, co zawsze robić zwykły: ściągnęły tłum. Ze względu na cel — stało się jak najlepiej, a przecież nie podobna opędzić się pewnym reflexjom. Jakto? Więc tłum, który okazuje zawsze wielką siłę oporną, gdy idzie o jakiegobądź nowatorstwo w dziedzinie wiedzy lub wyobrażeń społecznych, ten tłum, który z taką trudnością pozwala wsiąkać w głębię swojej nowym choćby nawet uczuciem prostej litości dyktowanym, prawom, ten tłum, który miał już tylekroć kamień lub krzyż na pogotowiu dla tych, co kazali mu myśleć — tensam tłum jest tak przystępny, tak mało wybredny, tak łatwo owczym jakimś pędem powodowany i biegnie, gdy sprawa zahaczy o jego śmiech, o jego zabawę, zwłaszcza jeśli zawołają nań z góry: „To nowość, tegoście jeszcze nie oglądali!“ Więc poza kęsem chleba, jeżeli się go zdobyło lub choćby drugim wydarło, pozostaną zawsze pierwszą sprawą — igrzyska.

Tak, bawimy się i będziemy bawić się nadal. Bo oto ledwie „kiermasz“ zamknął swe wrota, a już powstał nowy projekt „jarmarku artystycznego“. Powstał ma być urządzony w tymczasowym cyrku; potem przyjdzie tombola jedna i druga, a zresztą — wszak przed nami cały karnawał — karnawał rzadki swoją długością — karnawał dziewięciotygodniowy!...

Jakby też na pocieszenie dla tych wszystkich, którzyby zapytywać chcieli: za co my się bawimy będziemy, gdy w kraju ogólna bieda? — przynosi *Gazeta rolnicza* w ostatnim swym numerze nader pocieszającą nowinę. Streszcza się ona w wyrazach: „Ceny zboża niebawem podnieść się muszą.“ Twierdzenie to, z taką pewnością siebie wygłoszone, popiera pismo wspomniane szeregiem liczb, z których pozwolimy sobie tylko ten wyjątek przytoczyć: Stany Zjednoczone zebrały w tym roku tylko 350 milionów buszli, czyli, że na wywóz pozostanie im zaledwie 75 mil. buszli, podczas gdy w r. z. dostarczyły na wywóz aż 180 milionów. Dalej — Anglia, Austria, Francja, Włochy, a nakoniec Australia, również mniej w tym roku zboża zebrały, tak, że np. ogólna produkcja pszenicy jest obecnie niższą o 54 mil. hektolitrow od średniego urodzaju. Zabraknie więc na zwykłe potrzeby ludności euro-

pejskiej około 20 mil. hektolitrow, a wskutek tego dni stagnacyi obecnej są policzone. „Rolnicy nasi — pisze *Gaz. Roln.* — nie powinni zatem poddawać się panującej obecnie pauzie, ani wierzyć tendencyjnym wieściom przez spekulantów rozsiewanym; kto bowiem będzie miał zboże do zbycia w miesiącach poprzedzających nowe zbiory, nie będzie tego żałował...“

Doprawdy, aż się swobodniej oddycha na myśl o tej jaśniejszej przyszłości. A było już źle bardzo może gorzej nawet, niżesmy sami chcieli przypuszczać, zwłaszcza głośno mówić. Majętności ziemskie grzęzły coraz głębiej, zapisując z każdym kwartałem nowe na swych hypotekach pożyczki; włościanin nie ciułał już grosza; fabryki po miastach groziły z dnia na dzień rozpuszczeniem połowy robotników i nawet już w części smutną tę konieczność jęły wykonywać; rzemieślnik zadłużał się i wyzywał narzędzi — słowem: szło to aż do warstw najdalszych. Ponieważ zaś u nas, jak słusznie ktoś powiedział, zaczyna się robić oszczędności od głowy, nie zaś od ust, jakby być powinno, więc i reprezentacya naszej literatury — pisma peryodyczne — niezmiernie ogólną tę stagnacyą odczuła. Dość zacytował fakt zamknięcia takiego *Tygodnika Powszechnego*.

Oto dla czego tak skwapliwie przytoczyliśmy nowinę *Gazety Rolniczej*. W potopie „ciężkich czasów“ jest ona ową gołębicą Noego, niosącą zieloną gałązkę. Otworcież jej coprędeż okna chat waszych, aby nie zawróciła w inne jakie strony...

\* \* \*

Przed miesiącem niespełna przypadła 30-letnia rocznica śmierci Adama Mickiewicza. Redakcyja *Kraju Petersburskiego*, wydała „Numer Mickiewiczowski, istotnie wspaniały, ciekawy i bogaty treścią.

Staranność i zabiegliwość, z jaką z różnych kątów Europy zgromadzono liczne artykuły odnoszące się do największego naszego poety, zasługują na najzupełniejsze uznanie, a miło nam je zaznaczyć.

Nie tu miejsce na krytyczną ocenę tego wydawnictwa; mimochodem tylko nadmienimy, że obok tak miłych upominków, jak kopia metryki chrztu poety i podobizna rękopisu pierwszej karty *Pana Tadeusza*, oraz obok wspomnień rówieśników: Bohdana Zaleskiego i Ignacego Domejki, rozebrano tu stanowisko Mickiewicza w literaturach obcych: niemieckiej, francuzkiej, angielskiej, rosyjskiej i rusińskiej; każdy zaś z tych artykułów wyszedł z pod pióra specjalnie uproszonego literata danej narodowości. Przemawia to za bezstronnością wyrażanych w tych artykułach sądów, a temsamem dla polskiego czytelnika może i musi być bardzo pouczającym.

A przecież z numerem tym stało się to, co dzieje się u nas często z niejedną poważną sprawą. Oto przeoczono, a raczej prawie zupełnie przeminięto, wszystkie trzydzieści prac, w rzędzie których znajdują się i powyżej przez nas wymienione, a natomiast wszczęto wielkie larum, na poły humorystyczne, około trzydziestej pierwszej, najmniję właśnie rozgłosu potrzebującej.

Pracą tą jest felieton Bolesława Prussa, w którym utalentowany kronikarz, wzięwszy za podstawę „Farysa“ jał zastanawiać się nad „jędernością“ stylu Mickiewicza i zasadami „złotej proporcji“, do których wielki nasz pieśniarz ściśle miał się stosować. Przy pomocy ulubionej przez siebie statystyki (ach, te fałszywe apetyty!) obliczył Prus w procentach stosunek „pożywnych części mowy“ (przymiotnik rzeczownik, słowo), do „balastu“ (przysłówki, zaimki i t. d.) i wykazał liczbami znaczną u Mickiewicza przewagę pierwszych nad drugimi, przy skrzętnym zarazem stosowaniu rozmiarów formy do treści, jak tego również domaga się „złota proporcja.“ Jakkolwiek zaś nie na wiele się przyda mierzenie poezyi łokciem, wagą i miarką, to jednak rzecz sama a właściwie istotny zamiar Prusa wcale nie był śmiesznym. Podobne obliczenia znane są w literaturach obcych (Dante-Shakespeare-Goethe), a lu-

bo nikogo nic nie nauczą, to jednak też i nikt się z nich nie natrzęsa

Zkądże więc u nas taka wrzawa w tym przedmiocie; jaki powód tej całej wojny podjazdowej, rozpoczętej przeciw zacnemu i w dobrej wierze działającemu Prusowi, naraz na wszystkich punktach, przez powołanych, a nawet (i to nieszczęście!) wcale niepowołanych?

Otóż, jeśli wolno i nasze trzy grosze do sprawy tej dorzucić, powód leży po części w lekkomyślności, która woli raczej potępić całą Gomorę, bo to łatwiej, niż trudzić się wyszukiwaniem w niej biblijnych dziesięciu sprawiedliwych (a tyle zdrowych myśli znalazłoby się w felietonie Prusa); po części zaś bicz na siebie ukręcił i sam autor, gdyż wychwalając „złotą proporcję“, zapomniał o przystosowaniu jej do swego artykułu.

Mając do czynienia z poważnym z gruntu przedmiotem, traktuje go Prus napół humorystycznie, jak o tem zdaje się świadczyć porównywanie „jęderności“ stylu Mickiewiczowskiego ze stylem Sotera Rozbickiego, w jednej z najgłupszych t. zw. „bajek“ tego dziwoląga literackiego, zaczyrującej się od słów:

„Pytał się żyd chłopaka:  
Dlaczego wrona kraka —  
On na to: Boże drogi,  
Bo ona ma na głowie rogi...“ i t. d.

Wprawdzie Prus zupełnie poważnie cytując powyższą uczynił, chcąc na przykładzie, obrazowo przedstawić, że przy „jęderności“ i „pożywności“ stylu w poezyi potrzeba jeszcze logiki i zdrowego sensu! Ale, niestety, po pierwsze był to dowód zbyteczny, któż bowiem nie wie, że poezya bez zdrowego sensu przedewszystkiem poezyą być przestaje, a powtóre, jeśli już koniecznie zstawić było potrzeba, należało przez poszanowanie dla Mickiewicza wyszukać mu jakiegobądź przyzwoitego kompaniona. Wszakże znalazłoby się odpowiednie do zamierzonego celu prawdziwie literackie nazwisko, dajmy na to, między poetami okresu makaronicznego. Tak więc „złota proporcja“ sama źle się wskrzesicielowi swemu przysłużyła.

Co do mnie, łatwo mi wyobrazić sobie Mickiewicza gryzącego pióro przy pisaniu; pojmuje Słowackiego, który z takim nieraz mozołem kreślił swe oktawy w *Beniowskiu*, że nieraz jednak i ta sama zwrotka po sześć razy była pizerabiana i przepisywana: ale jestem pewny, że ani jeden, ani drugi nie zajmował się wcale obliczaniem „pożywnych“ lub „balastowych“ wyrazów i trzymając się zasad „złotej proporcji“ nie myślał o niej zgoła.

\* \* \*

Warszawscy malarze, zachęceni powodzeniem, jakiego ubiegłej zimy doznała urządzona przez nich wystawa szkiców, wystąpili i obecnie z podobnym przedsięwzięciem i również nie zawiedli się w swoich nadziejach. Począwszy od dnia 22 Listopada, (aż do dnia 1 Stycznia) w skromnych trzech pokoikach, w domu narożnym, przy zbiegu ulic Królewskiej i Krakowskiej-Przedmieścia, razno bywa ciągle, a są czasem dni, w których aż do 700 osób przesuwa się około okazów tej sympatycznej ekspozycyi.

Bez długich zachodów, bez krzyków i reklamy, zgromadzono tu odrazu około 500 przedmiotów sztuki czystej lub stosowanej do przemysłu, w rodzaju: malowanych wachlarzy, parasolek, ekranów albumów, porcelany i innych drobiazgów; ponieważ zaś codzień zapełniano luki, jakie kupujący czynili ogółem przeto przewinęło się dotąd około 800 okazów. Kostrzewski, Brochoczek, Wyczółkowski, Konopacki, Lentz, Dowgird, Szwojnicki, Pawliszak, Bardzka, Sztencel, Zaleski, Mucharski, Jankowski, Mazurowski i wielu, wielu innych, stanęli tu w zwartym szeregu, z mnóstwem pomysłów, szkiców, studyów pędzla lub ołówka.

Dwa, trzy albo pięć rubli za obrazek oryginalny, to istotnie nie lada pokusa. A lubo obrazek

ów jest tylko szkicem, nie zaś skończonym dziełem, to przecież nie znajdzie się nikt chyba, coby pomieniał, bodaj najmniejszy z nich, za najlepszy sztych lub ołówek zagranicznego stempla. Wyrugowanie tych ostatnich z naszych saloników — oto główne a piękne zadanie podobnej wystawy. Zadanie to mało które z pism tutejszych we właściwym świetle przedstawiło, a przecież publiczność dobrze cel ten zrozumiała. Summa, jaką wystawa przyniesie, oile się zdaje, przekroczy 2.000 rubli, z samych zakupów, nie licząc dochodu z biletów wejścia.

Głośny trud urzędnika wystawy szkiców, równie jak w roku zeszłym, spoczywał na barkach energicznej dwójki: pp. Juliana Maszyńskiego i Józefa Ryszkiewicza. Począwszy od starań o wynajęcie lokalu, wszystko oni załatwiali sami zachęcając kolegów i zajmując się umieszczeniem ich prac, oraz pośrednictwem w sprzedaży.

Ktokolwiek też miał sposobność przyjrzeć się bliżej stosunkom koleżeńskim tutejszej kolonii malarskiej, ten mógł doprawdy zbudować się niemi. Jakaż to szczerza życzliwość wzajemna, zarówno starszych dla młodszych, jak już rozgłoszonych do próbujących dopiero ikarowych skrzydał! Każdy zwraca najpierw uwagę na najlepsze strony w pracy kolegów, stara się pomódz i poradzić; jestem przekonany, że nawet przemalowałby lub poprawił niejedno, gdyby mu na to pozwolono. Zasługuje to więc na zaznaczenie, bo takich stosunków nie spotyka się dziś codziennie.

Nie szukając daleko — jakże to „u nas“ inaczej! Ale o tem już nie dzisiaj.

Czyż bowiem pod egidą urczystego święta pojednania i radości, którego wspomnieniem gawędę niniejszą zaczęliśmy, wolno mi z bracią wszczytać spory i boje?...

Przenigdy! Wolę raczej powtórzyć wam raz jeszcze owo stare: „Dosiego roku!“... Oby nam się lepiej działo!...

## ZLAMANA TARCZA.

(Dalszy ciąg).

W trzy dni potem, w Niedzielę, Pobóg zobaczył chorążankę w kościele parafialnym na nabożeństwie. Siedziała z ciotką w ławce kolatorskiej i modliła się gorąco. Bolesć, którą przeszła — żal, tęsknota, iskra nadziei długo w piersi noszona lecz już gasnąca teraz, odbierając jej pierwszą świeżość dziewczęcą czyniła przecież stokroć piękniejszą, niż była wtedy, gdy młody książę rozkochał się w niej gorąco. Delikatna była i powab miała tak szlachetny, że ludzie prości go czuli, mówiąc sobie, że jest podobną do obrazka świętej. Pobóg siły tego powabu na sobie doznał. Pod amboną stał, o całą szerokość nawy kościelnej od niej oddzielony, ale oczu oderwać od niej nie mógł. Tak mu się cudownem niemal zjawiskiem wydała w ujęciu starożytniej i pociemniałej ławki dębowej, której rzeźbione, wysokie poręcze, otaczając ją ramą surową, uwydatniały jeszcze delikatność jej wdzięczną. Pobóg, choć wielką siłę woli miał, nie zdołał przecież zwyciężyć uroku, a wkrótce już i nie chciał. Życie wiódł tak ciężkie, że ten nagle zjawiający się przed nim kwiat dziewiczej piękności odrazu z serca mu wywołał coś, jak decyzją desperacką. Dał się unieść zachwytowi i wciągał w siebie truciznę niebezpieczną z krwią zimną tej myśli, że już mu gorzej, ciężiej na świecie być nie może. Skazał się na istnienie, jakiego chyba nikt na ziemi jeszcze nie wiódł i choćby cierpienie przyszło się w nie wpleść, targając sercem najboleśniej, to prawie byłoby ulgą jeszcze. Niebezpieczeństwo uczuł zaraz, gdy raz pierwszy zobaczył chorążankę, łzami zalaną i w objęcia kniaziowej Ireny, jak zraniony gołąb się tulącą — ale rozpacz, która go zdjęła na jej widok, była tylko szarpnięciem się dzikiemi nic więcej. I nocy tej, która potem przysła, mógł by był wartownik widzieć, że nie spi-

pootwierał wszystkie okna i chodził, chodził, przypominając sobie z goryczą tę wdzięczną postać rozplakaną, odtwarzając sobie w pamięci każdy jej ruch, każdy rys oblicza, oczu podniesienie.

Potem, gdy już krótka noc wiosenna uchodzić zaczynała, gdy już miało szarzyć i ziemia poczęła się budzić: wiosenne głosy natury zaczęły się odzywać, on do okna przystąpiwszy, wychylił się przez nie i patrzył w dal szarzącą od niepewnego jeszcze świtu, zaczął sobie, ale w sposób już inny, obraz chorążanki znów przed wyobraźnią przywoływać. Upajał się wdziękiem jej piękności, słodyczą, jaką rozlewała wkoło siebie. Powabem, który do niej ciągnął.

W pierwszym momencie powab ten właśnie odepchnął go od niej gwałtownie i wywołał burzę uczuć namiętnych, ale to było tylko dowodem jego siły i choć uniesienie rozpaczne przeszło, Pobóg uczuł, że wrażenie otrzymane trwa przecież i jest takim może, jakim nigdy dotąd nie był w serce rażony.

Rozżałał się, rozgoryczał, targając się w sobie posępnie, aż powoli, zmęczony może, pozwolił się wpływem tem opanowywać. Były słodkie niewymowne, niosły ze sobą rozkosz, przenikającą serce. Te oczy, te usta, ta kibić gibka tak podająca się miękko w objęcia, tak pochylająca się wdziękiem czarownym...

Teraz tylko to widział, to sobie w wyobraźni malował — uroczę te widzenie, które jawiło się przed nim, jakgdyby w zamglonej dali wstającego dnia wiosennego, występowało mu przed oczy łagodząc ostrość goryczy, którą się sam poił, miękcząc surowość, jaką sam na siebie wywierał. Kołysał go i ukołysał zwolna obraz ten słodki wdzięcznego dziewczęcia. Patrzył w stronę tę, gdzie była, tam za lasem — daleko i razem blisko. Marząc tak, zasnął z głową opartą o framugę okna i obudził go dopiero jasny już promień słońca, który zukosa na twarz mu padł.

Zerwał się, stanął chwilę nieprzytomny, nie wiedzący gdzie jest i trzeba było parę minut czasu, aby wróciła mu świadomość rzeczywistości. Westchnął ciężko, serce doznało bolesnego ściśnięcia i zarazem tęsknoty niewymownej, jakgdyby za rajem utraconym.

Raj objawił mu się we śnie. Splątane wrażenia dnia wczorajszego odbiły się w jego obrazach: był w nich ten las stary, w którym wczoraj spotkał chorążankę i on z nią w tym lesie był — szedł a raczej szli, bo ją za rękę trzymał. Gdzie? Nie wiedział — szli przecież, ona czasem przytulała się do niego, gdy jakiś czarny cień drzew ich otoczył, gdy szum jakiś głębią lasu przeciągał. Szli, jakgdyby ku jezioru, które rozciągało się po połowie już na gruntach Horyey, ku Kniaziowej Wodzie. Czy on ją do domu odprowadzał, czy to był ich dom, ta zarosła głusza leśna?

Obudziwszy się, potrzebował chwili iakiejś, aby się wytrzeźwić z marzenia, a wytrzeźwiony, uczuł za niem żal niewymowny, niewypowiedziany i — niewymowną, niewypowiedzianą tęsknotę!..

Tęsknotę uczuł za wdziękiem, który się nagle objawił jego oczom, oduczonym już od widoku rzeczy miłych — tęsknotę uczuł za słodyczą, której kropelką, niespodziewanie zdobyta, upoił usta swoje, pijące już od tak dawna tylko napój ostrego, gorzkiego smaku z czary surowego obowiązku, — z czary pokutnika!

Mimo to przecież do zajęć swoich: do gospodarowania kniaziowi Hołubie, który syna nie miał, zerwał się potem zaraz tak gorliwie, jak zwykle to czynił. Owe pługi do podorywania ogrodów kniaziowej Ireny wyprawił, i jakgdyby nie zaszło w jego życiu nic, swoją służbę podstarościego pełnił, ale mimo to tęsknotę nieprzepartą w sercu miał ze zjawiskiem tem uroczem, które nagle drogę jego życia zaszło i stanęło na niej. Tęsknił do widoku chorążanki, do chwili ujrzenia ją znów, choćby zdaleka: tęsknił do niedzieli, pozwalającej mu przypuścić, że ją ujrzy w kościele.

To też patrzył teraz na nią, pił czar uroku, jaki na niego wywierała, i wiedząc ze światomością najzupełniejszą, co na dnie kryła ta czara, nie bronił sobie tego. — Co gorszego może mi się jeszcze stać? — powtarzał.

Choć wiedział już bardzo wiele, nie wiedział przecież tej jednej rzeczy, najważniejszej, że dra-

bina nieszczęść długą jest nad możność zbadania gdzie jej koniec ostatni?

Prawie w tej chwili gdy dał tę odprawę trosce ostatniej o spokojność swoją, spotkał się oczyma ze spojrzeniem chorążanki. Dziewczyna rozmodlona gorąco, bo wzruszona pierwszą po długiej niebytności modlitwą w tym kościele, z którym łączyło się dla niej niejedno wspomnienie straconego szczęścia, gdy się przecież podnieść musiała z klęczek, ostrzeżona przez dotknięcie ciotki, że powinna wstać, bo ksiądz zaczął czytać ostatnią ewangelią — podniosła oczy prawie machinalnie i ujrzała Poboga: spotkała się z nim oczyma. Spuściła je zaraz, bo, jak wszystkie dziewczęta, wszystkie kobiety owych czasów, miała w sobie wrodzoną skromność wielką, ale podniosła je wkrótce — podniosła, aby patrzeć chciwie. Kniaziowa Irena powiedziała jej o nowym podstaroście, jak niespodziewanie i niemal nadzwyczajnie do nich się dostał; jak teraz pracowity był i służył im z poświęceniem, które na każdym kroku okazywał, dodając że i oglądę, i naukę wyższą miał, niż u ludzi jego kondycyi zwykle się spotyka. Przypomniała sobie to nawet, jak zbladł nagle, gdy próg jej komnaty raz pierwszy przestępował, i powtórzyła słowa powiedziane niegdyś jej samej przez kniazia, że jestto pewno człowiek nieszczęśliwy, którego jakiś bardzo ciężki los spotkał. A gdy kniaziowa z rozrzewnieniem dopowiadała, jak dla kniazia i dla niej jest z wielkiem uszanowaniem i troskliwością, jak gdyby synowską — chorążanka, która byłaby sama z pragnieniem całego serca oddała się biednym rodzicom w taką służbę za córkę — za dziecko, którego już nie mieli, uczuła się bardzo wzruszoną, bardzo temu obcemu przybyszowi wdzięczną.

I tajemniczość, otaczająca go, znać ją coś dla tak młodego dziewczęcia. Wywiera ona swój wpływ i na starszych, a cóż dopiero na młodość pierwszą, która życia nie zna i roi o nim sobie jakieś rzeczy wielkie! Chorążanka i przez ciekawość i z pociągu przychylności podniosła raz jeszcze oczy na Poboga, chcąc mu się przyjrzeć — nie zapomniała i wrażenia w lesie, jak jej się pięknym, szlachetnym na białym swym arabczyku wydał, i podniosła oczy.

A mogła patrzeć, bo on miał oczy spuszczone. Zamysłony po spotkaniu jej spojrzenia tak stał, a ona przyglądała się jego twarzy, jego postawie, doznając niemal tegosamego co w lesie wrażenia i rozbierając dalej rys po rysie, to oblicze męskie, które życie napiętnowało charakterystycznie. Siła ducha odbijała się w śmiałych zarysach czoła i całej górnej części twarzy; oczu, nosa z lekkim garbem rzymskim. Siła tam była i dama, powaga, więc męskość doskonała, a jednak nie była to twarz surowa. Łagodziła ją smętność jakaś — głęboka i spokojna, zlewająca się z wielką słodyczą świeżych ust, wyglądających z pod opuszczonego, jasnego wąsa. Wydał się też patrząc dziewczęźnie tak pięknym, że aż ją zjął strach jakiś, powstały z mimowolnego uszanowania i współczucia — z wielkiego, głębokiego współczucia! Zajęcie i żal, do którego dawały prawo słowa kniaziowej Ireny, zlały się razem. Młode, smutne serce uczuło sympatyę żywą do człowieka, o którym mówiono, że musiał przybyć jakąś próbą ciężką. Chorążanka byłaby chciała znaleźć się kiedy blisko niego i wyświadczyć mu coś dobrego — w najczystszej dziewiczości młodego swego serca, przez wszystko co jest w kobiecie instynktem łagodnym, czułym — co jest w niej tkliwością, miłosierdziem, dobrocią — przez to wszystko chciała by mu była coś miłego uczynić, dać coś pocieszającego.

Czy było pocieszającym rzeczywiście, rzeczywiście dobrem, co mu już dawać poczęła?

Było słodkim i on tego już pragnął, łaknął...

Było, a przynajmniej zdawało się być wycieczką, a on był już zmęczony. Nie czuł tego jeszcze temu trzy dni, ale teraz uczuł nagle. Zapragnął zwolnić cośkolwiek surowemu wyprężeniu swego ducha, zateknił do czegoś miękkiego, ku czemu-by mógł choć pochylić się nieco w marzeniu, myśląc, jakby tam słodko było spocząć. Przygarnięcie sobie tej kibici dziewiczej, oparcie głowy na tem ramieniu wdzięcznym



ŚWIĘTA RODZINA.

tonięcie oczyma w tych oczach, które też już płakały...

To, że wiedział o niej, iż kochała już też i kochanie swe utraciła—to potęgowało jeszcze wrazenie, jakie chorążanka na nim wywarła. Nie myślał o niej wcale, jak o kobiecie, którejby mówił: — o, Kocham cię i chcę dostać od ciebie czare rozkoszy miłosnej, zachwytów rajskich — nie!... Jeszcze wtedy poezja, urodzona też z tęsknoty i boleści, z ciężaru życia surowo pędzonego w obowiązku twardym, nie stworzyła była „niewieścigo anioła, będącego siostrą Najświętszej Panny“,... jeszcze de Vigny nie ukształtował był Elbe z pierwiastków żalu za straconem szczęściem, z beznadziejnego uczucia miłości, niemającej się nigdy urodzić nam w sercu, i być życiem naszego życia — jeszcze wtedy, w 1674 r., nie było danem wcielenie temu smutnemu pragnieniu ludzi nieszczęśliwych, lecz niemniej uczuwaliby je. Pobóg nie chciał od chorążanki Anny, aby mu się stała kochanką, ale zapragnął w niej mieć anioła miłosnego — niewieścigo anioła, który ucisza serca i kołysze je, gdy smutek zanadto w nie zagłębia szpony twoje. Chciał czegoś, co może było nieuchwytnem, ale to jest właśnie cechą ludzi nieszczęśliwych, że mają pragnienia takie — nieuchwytnie. — Wszak pokutnik był i mógł-że z czystym sumieniem pożądać radości, rozkoszy według zwykłej miary życzeń ludzkich? Pocieszenia zapragnął... mgliste to było, bałamutne pragnienie, ale powtarzam też, że mgliste, bałamutne są majaki ludzi, którzy mają serca zrozpaczone, przez nieszczęście bez nadziei. Ciężko im, gniewie ich to i ulgi żądają — wołają do Boga o ulgę...

Książę nie był tej Niedzieli w kościele z żoną. Pobóg z nią pojechał i Pobóg też musiał się stawić przy jej ławce, gdy z kościoła wychodzić miała — musiał przy niej być, gdy się zatrzymała na cmentarzu, dla spotkania ze stolnicową, która jako kollatorka, miała ławkę w górze kościoła przy ołtarzu wielkim i dla tego wyszła z kościoła później, skoro już lud wypłynął z niego, i miejsce do wyjścia wolnem się stało. Stała kniaziowa z Pobogiem o kilkanaście kroków od wielkich drzwi kościelnych i panie wychodzące z kościoła, a wychodzące powoli, bo zmieszane jeszcze z ostatnią garstką modlącego się ludu, święconą wodą w drzwiach biorącego, żegnającego się przed obrazami, widziały już naprzód czekających na nie, i widzianymi od nich były. Gdy chorążanka z kamiennych stopni kościelnych schodziła, widziała też Poboga obok kniaziowej Ireny i dla czego się zapłoniła — nie byłaby umiała odpowiedzieć... Spojrzała i zapłoniła się — ot tak, ze skromności kobiet owego wieku, ale gdy już blisko niego była, a on głowę odkrył, spojrzała na niego z dobrocią, z życzliwością — z prostotą spokojną. Obie z ciotką wsadzał potem Pobóg do kolaski: układny, z formą tą dworską uszanowania mężczyzny dla kobiety, która się zwała wtedy attencyą dla białogłów, i stolnicowa tak mu też podziękowała w tonie równości towarzyskiej, jakby to był ktośkolwiek z panów, z którymi żyła w przyjaźni sąsiedzkiej. Uczyniła to, nie myśląc zgoła, że to podstarość jest i kniaziowa też nie prezentowała go inaczej, tylko: — Pan Jan Pobóg, łaskawy na nas przyjaciel... I ona, choć wiedziała już, że książę go ma do wyręczenia się nim w gospodarstwie, tak też to przyjęła. Naturę miała wyniosłą i w ogóle do obcych nie lgnęła, więc też czyniła to wszystko chłodno, ale Pobóg wydał jej się kawalerem przyzwoitym, i tak go też traktowała. Lecz chorążanka, gdy Pobóg z kolei do kolasy ją podszedł, podniosła na niego wzrok bardzo słodki. Bardzo słodko rzekła mu też: — Dziękuję waszmość panu.

Troszeczkę jej się ten słodki głos przyciszył, gdy to mówiła. Dlaczego? Nie byłaby znowu mogła odpowiedzieć, prócz tego chyba — że był to człowiek dobry, że był to pewno człowiek nieszczęśliwy...

I dlatego głos jej przysłonił się, gdy do niego mówiła?

Tak. Chciała mu się okazać przychylną, chciała mu się okazać życzliwą i uczuła się wzruszoną. Mało jeszcze bywała w świecie między ludźmi obcymi, i była w ogóle niezbyt śmiałą.

We dwa tygodnie potem zaszedł wypadek bar-

dzo smutny. Kniaziowa Irena zachorowała nagle i ciężko. Gorączka to była — gorączka i ból głowy; doktor sprowadzony z miasta potrzasał głową. Kniaziowa nie była już młodą, przeżyła wielkie nieszczęście i pewno zaziębiła się teraz.

Książę Konstanty stał się bladym jak chusta, słysząc to. A... mógł teraz zostać sam już jak drzewo w pustym polu. Siedział biedak przy łóżku żony z załamanymi rękami. Już Seneka nie pomógł nic na ból, który mu pierś rozrywał, i Pobóg był dla niego teraz prawdziwym posłannikiem łaski Bożej, bo stępiała w nim prawie bystrość umysłu i mógłby być przy tem łóżkusiedzień dzień i noc, ani sam pijąc, ani sam jedząc, ani też chorej jakąkolwiek pomocą dając. — Mógł być powiedzieć jej: — Dobrze, dobrze, moje życie, i ja się tu zaraz obok położę i umrzemy razem.

Ale Pobóg gwałtem go z tej apatii wyrwał, i kniaziowej, jak syn matce, lekarstwo dawał, głowę mokre chustami okładał, lecz niedługo nadeszła mu pomoc. Chorążanka, gdy tylko się dowiedziała, jak ciężko kniaziowa jest chorą, przyjechała do niej i jak córka przy łóżku jej siadła, na miejscu kniazia, którego ręce całowała, nogi obejmowała jak córka też, prosząc, aby sobie po-folgował, a zwłaszcza w nocy, aby się spać kładł. W komnacie jego ustronnej urządziła mu sypialnię i ona już, rządy tu niejako objąwszy, została przy chorej z Pobogiem tylko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NASZE TOWARZYSTWA

i salony w rozmaitych epokach.

ODCZYT

Piotra Jaxy-Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

II.

Forma towarzyska znana pod ogólną nazwą salonu, jest utworem czysto francuskim, dziełem tego narodu, który od wieków produkuje inny w cywilizacji, dawał światu wzory, wprowadził nie zawsze naśladowania godne, — narodu posiadającego dar łączenia wzniosłego z poziomem, poważnego z lekkomyślnym, moralnego z nagannym; — narodu nareszcie, którym sam się doskonale scharakteryzował w przysłowiu *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*.

Zasługą pomysłu i kreacji salonu w pierwotnej doskonałej jego formie należy do kobiety. Salon był jej pierwszym krokiem stawionym na drodze do emancypacji; a chociaż sam wyraz „emancypacja“, dziś tak utarty i głośno-brzmiący, nie uzyskał był jeszcze trzysta lat temu dzisiejszego znaczenia i rozgłosu, jednak już wtedy niewiasta francuzka, zrzucając jarzmo domowego ucisku, z izby dziecięcej i spiżarni przeszła do tak zwanego salonu, a tam przez subtelny rozum i takt, chwyciwszy wodze przodowania, zmieniła rolę podwładnej na berło władzy i zapanowała w salonie.

Ciekawe są dzieje dawnych francuzkich salonów, których władczyni przodowały w naukach, dawały kierunek społeczeństwu, literaturze i na rządy państwa często wpływ wywierały. Szczupły zakres opowiadania nie dozwala dłużej się dłużej nad tem zatrzymywać. Przedmiot to za obszerny, bowiem sami Francuzi rozciągnęli historię swych salonów na setki przeszło tomów. Pierwszy związek salonu położyła margrabina de Rambouillet, dama przedniego rozumu i wysokiej dystynkcji, około roku 1600, za panowania Henryka IV. Tej salon znany powszechnie pod nazwą: *Hôtel de Rambouillet* był rodzajem niemej opozycji przeciwko rozpuciu i szaleń-

stwem dworu, którym przeciwdziałał zgromadzając wszystko, co się wówczas odznaczało rozumem, nauką, czystością mowy i obyczajów.

Następne panowanie Ludwika XIII który wspólnie ze swoimi ministrami, odznaczał się obojętnością dla nauk i oświaty, złożyło w ręce hotelu Rambouillet najwyższą władzę i opiekę nad literaturą i naukami.

Hotel posiadał swoje hasło zawierające się w dwóch wiele znaczących wyrazach *esprit et dignité* miał też obowiązujący swój kodex godny naśladowania, na mocy którego wzbroniony był wstęp osobom płci obojga, podejrzaney sławy i lekkiego prowadzenia, oraz trudniącym się nieszlachetnym procederem lub uczeszcującym do podejrzanym towarzystw. Złośliwość, uszczypliwa mowa, szarpanie cudzej sławy itp., wady szkodliwe towarzystwu, również tamowały wstęp, albo raz już przyjętych usuwały nazawsze. Surowy i prawdomówny Saint Simon, który nikogo ze społecznych nie oszczędza, jednak o hotelu Rambouillet tak się odzywa: — „Było to zbiegowisko wszystkich osób najznakomitszych przez urodzenie, pozycją lub zasługę. Trybunał najwyższy, z którym się liczyć należało, a przed wyrokami jego wielkiej powagi, schylały się nie tylko czoła ogółu, ale i koronowane.“

Godnemi następczyniami hotelu Rambouillet były w rozmaitych epokach, panna de Scudéry, księżna Montausier i Orleańska, panie de Ténéin, Geoffrin i wiele innych. Ta ostatnia znana jest jako opiekunka i dobrodziejka Stanisława Augusta Poniatowskiego, która za dni jego młodych, wykupiła go parę razy z więzienia za długi.

Stanisław, zostawszy królem, chwalił się, iż był jej wychowancem i zaprosił swoją opiekunkę do Warszawy, gdzie razem ze swoim dworem wspinał ją podejmował. Nakoniec długi szereg salonów tego rodzaju zamyka pani Staël, której wpływów i górnych frazesów przelakłszy się nieustraszony Napoleon I, wydalil ją ze stolicy Francji.

Niema wątpliwości, że nauka literatura i sztuka wiele tym salonom zawdzięczają, a z ich dziejami związane są ściśle dzieje cywilizacji we Francji. Jeszcze jedną niezaprzeczoną położyły one zasługę, iż pierwsze, poczawszy od hotelu Rambouillet, wydały walkę kastowym przesądom, otwierając podwoje przed rozumnymi plebejuszami t. z. (*villain*) i to *notabene* w czasach grubej ciemnoty, kiedy cienkie pieluchy nadawały jeszcze do wielką osobistą wartość.

Trzeba tylko pamiętać, że owe salony, poważne i postępowe, na nieszczęście stanowiły rzadkie wyjątki we Francji, gdzie dwory wszystkich Burbonów dawały zgubny przykład rozpusty i rozprzeżenia, który z wysokości, rozlewając się na cały naród, zawczasu zepsuł i zgangrenował całe towarzystwo. Przecież powieściarstwo francuzkie oddawna i dotąd żywi się tajemnicami miłośnek dworskich i tych sławnych schadzek romansowych *Oeil de boeuf*, *Parc aux cerfs* i t. d.

Chociaż, zaprawdę, bardzo wiele do nas przychodziło z Zachodu, bo od początku organizacji państwa razem z wiarą przyjęliśmy zachodnią kulturę, jednak długośmy się oparli zachodniemu zepsuciu. Pomimo, iż oddawniadawna bogatsza młodzież nasza uczyła się zagranicą, a wszyscy nasi znakomitsi statysci i wojownicy tam pobierali wyższe kształcenie, jednak prócz pożytku nic innego do kraju nie wnieśli: snadź w przodkach naszych był, że tak się wyrażę, pewien zmysł pszczoli w przyswajaniu sobie substancji pożywnej, bez trucizny zepsucia. Każdy wraca do kraju z zapasem wiedzy, ale bez fanaberyi i pyszałkowstwa, starego czystego obyczaju przodków przestrzega.

Francuzi już wprawdzie zaczynają potrosze parę wieków temu możniejsi panowie przez wpływ dworów, przy królowych Francuzkach, Maryi Ludwice i Maryi Kazimierze. Już na oba te dwory i do magnatów zaczęli się wcisnąć cudzoziemcy, zanosząc tam swoją mowę i obyczaje, ale ogół jeszcze starej się trzyma tradycyi. Dopiero całym prądem zalewa nas francuzczyzna ze wstąpieniem na tron pierwszego Sasa. Mamy już salony francuzkie, lecz nie w znaczeniu poprawy

obyczajów i szerzenia oświaty, jak ów hotel Rambouillet.

Co prawda, dla takiego salonu brakło nam wówczas wiele, ale przedewszystkiem kobiety, której wychowanie nie przeszło było jeszcze u nas ogólnie poza ciasny obręb domowy, poza władzę matczyną i X. proboszcza. Kształcone szlacheckie dziewczki na dobre żony i matki. Zdrowy zaś gospodarski rozum miały z natury, aż nadto wystarczający do prowadzenia spraw domowych i wychowania dzieci, pod dłuższą niebytność męża lub na wypadek owdowienia. Ale, zaiste, żadna szlachcianka przed dwustu laty nie była materyałem na panie Rambouillet, Geoffrin i t. p. Ztądto i francuzczyzna wciskająca się do nas przez wszystkie szpary wciskała się w ujemnem znaczeniu.

Król August II, chociaż sam Niemiec, jednak miał do niej szczególną słabość, rad naśladował dwory Burbonów, a bardziej ich rozpustę i rozrzutność. Panowanie to postawiło nas nad przepaścią zepsucia, w którą rychło wpadł naród za przykładem króla. Z rozpowszechnieniem cudzoziemskich obyczajów znikła stopniowo dawna szczerność i powaga towarzyskich stosunków, społeczeństwo odmieniło się do niepoznania.

Modne amory wyrugowały czystość domowego ogniska i wiary małżeńskiej. Rozwody zagaściły się w tych czasach. Być kochanką i kochankiem stanowiło nieodzowny warunek dobrego tonu.

Gry azardowne prowadzono otwarcie, w których sam król chętnie brał udział.

Szulery rozsiadali się w publicznych miejscach, prowadząc bezkarnie swe niecne rzemiosło.

Ogólna rozpusta rozuzdane hulaszce życie stały się przynętą dla cichych dotąd i skromnych wsi mieszkańców; ci opuszczając domowe zacisza, gdzie wedle ojcowych wzorów wiedli żywot poczyty, napływają do tej stolicy zepsucia, nad której rozpasaniem, już jak niegdyś nad Sodomą, ręka kary zawisła, lecz tej rozbawieni i zasłепieni ucztownicy nie dostrzegali.

Tak nagle i gwałtowne zmiany w społeczeństwie dadzą się chyba wyjaśnić przez ów pogański fatalizm, który powiada: *quem vult perdere Jupiter prius dementat*. My zaś na owe burzliwe czasy przerobiłiśmy to sobie na chrześcijańską maksymę: — „Kogo Bóg chce ukarać temu rozum odbierze.“ — Bo jakże inaczej wytłómaczyć to zasłепienie, gnające nas w otwartą przepaść a za tem i do ostatecznego upadku?

Dla zwięzłości w opowiadaniu trzy panowania wieku zeszłego można w jedno połączyć, tembardziej, iż nam tu tylko idzie o byt towarzyski, który, niezmiernie zepsuty w tej epoce, chylił się ku upadkowi i całkowitemu rozprzężeniu. Syn i następca Augusta II, ocieżały i niedołężny, nie mógł wydzwignąć narodu z tej toni zepsucia, w jaką go ojciec pogrążył.

Przynajmniej pierwszy miał ducha rycerskiego, siłę ciała niezwykłą, lubił łowy, wszelkie ćwiczenia zręczności, a miłował się w rycerskich zabawach. Syn zaś nie posiadał tej kawalerskiej, poetycznej wytworności, jaka znamionowała ojca; niedołężny, bigot, przy otyłej i ocieężałej postawie, nie znoził ruchu; wygodne noszenie w lektyce, strzelanie do tarczy, siedzące polowania na przypędzonego zwierza, czasami nawet strzelanie do psów, w końcu słuchanie bufonad lub improwizacyi nadwornego Niemca poety, były jego najmilszymi rozrywkami, od których rządy państwa oderwać go nie mogli, bo te ministrom powierzał. Zresztą mało go obchodziła Polska, której nie lubił. Częściej przesiadywał w Dreźnie, osobliwie w ostatnich latach, zjeżdżając tylko na sejmy, z których żaden za jego panowania nie doszedł; bowiem do ogólnego zepsucia, już dołączyła się sromotna sprzedajność w sprawach publicznych i zawsze na sejmie każdym usłużny jakiś poseł chował w rękawie *liberum veto*, ażeby na zawołanie trząsnąć nim dla złotodajnego stronnika. Do tego już stopnia dochodził upadek, że najświętszymi rzeczami frymarczono. Wszakże to panowanie było ujemnem tylko dla towarzystwa, które już bez obcej pomocy samo przez się raz nadanym impetem pędziło po stromej pochyłości w przepaść.

Dwie księgi z tej epoki są wiernym obrazem

tamtocześnie go towarzystwa: *La Saxe galante*, co do rozpusty dworu za pierwszego Sasa, druga zaś „Opis panowania Augusta III“, przez ks. Kitowicza. Niepodobna ich rozdzielić, szczególnie tej ostatniej, bez wstrętu i oburzenia. Weredyk Kitowicz z rubaszością staropolską, a złowieszczym głosem puszczyka, maluje ogólny upadek towarzystwa, moralności, obyczajów rodziny i t. d. Ukazuje sprzedajność urzędów, brak władzy egzekucyjnej, niedołęztwo w wychowaniu, słowem: wszędzie zepsucie i demoralizacja.

Gościnność nawet, ta święta cnota przodków, tak przez nich wypielegnowana, traci swój pierwotny charakter serdeczności, a przeradza się w orgie, bachanalia i hulaszcość. Rozniosła się sława jakichś garncowych puharów zwanych *corda fidelium*. Inni łapią po drogach i zapajają na śmierć podróżnych. Słynął znów jakiś bernach pijanica, który rozpędzony przy wychylaniu olbrzymiego kielicha, zakąsił myślą, na dno wrzucaną i t. p., tysiące wstrętnych obrazów, które zgrozą przejmują. Urosło nawet przysłowie malujące tę smutnej pamięci epokę: „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa.“ Wtedy również ktoś mądry powiedział: że „Pił August, ale Polska była pijaną.“

Jakaż smutna sprzeczność z dawną tradycją gościnności, kiedy napój tak w miarę zażyty zagrzewał serca i poczywiej dodawał ochoty! „Bo zaprawdę, tylko szlachetna wesołość w szlachetnych objawiać się może formach. Jan Kochanowski raczący gości swych dzbanem miodu pod cienistym dachem historycznej czarnoleskiej lipy jest godnym tematem dla pędzla artysty; wesołe towarzystwo wnoszące puhary na cześć wzajemnych serdecznych sympatyj; sławny ów narodowy staropolski toast: „kochajmy się“ lub ów symbol gościnności naszej zawarty w tak zwanem: „strzemiennem,“ — wszystko to jest przewzięcznym motywem estetycznym dla poety i malarza, ale nie jest nim i być nie może wyuzdana, szalona hulaszcość, wstrętna wszelkim szlachetniejszym upodobaniom natury ludzkiej<sup>1)</sup>“

Nadmieniliśmy w pierwszej części opowiadania o dworach pańskich; teraz powiemy jak ważne znaczenie w oświacie i kształceniu młodzieży naznacza im Gołębiowski, który w dziele swym *Dwory i domy*, powiada:

„Dwory były najwyższą dla młodzieży szkołą. Po skończeniu nauk młodzian dla ostatecznego poluru i wprawy do służby cywilnej lub wojskowej oddawany był przez ojca lub krewnych do jakiego dworu. Tam zamiłował religią, patrząc jak ją szanowali najznakomitsi w kraju mężowie. Ciągłe widząc skromność prawdziwą, pobożność wyższych — przywykał i sam do niej, głęboko i na cały wiek w umysł ją wpajał. Stał się zacnym, innych bowiem przed sobą nie miał wzorów, tylko staropolskiej cnoty, szlachetności i dokładnego pełnienia swoich obowiązków etc.“

Zapewne, można to było bez fałszu powiedzieć o dawnych dworach Zbigniewa Oleśnickiego, Tomickiego, Samuela Maciejowskiego, Hozyusza, sławnego Tarnowskiego, Jana Zamoyskiego i innych wielu. Atoli Gołębiowski, chociaż zebrał w swej książce cenne materyały do historii obyczajów, jednak stałby się wiarogodniejszym, gdyby je wystawił krytycznie, a nie był takim bezwarunkowym panegirystą, ująłby wiele zbytecznych pochwał, nie apoteozowałby wielu. O tych zaś dworach, których upadkowi i zmaleniu mógł się zamłodu przypatrzeć i przekonać, że jeżeli owe dwory były *szkołą* jak sam powiada — to chyba szkołą zepsucia, gdzie się nauczył młodzieńiec dworskich obyczajów, języka dworskiego, nabył poluru, poznał — jak to mówią — świat, to jest przypatrzył się zblizka haniebnym intrygom i zepsuciu które najbardziej w pałacach gościć zwykły. Przyzwyczajal się do służalstwa i nabrał stronniczego ducha, gdyż patrzył na sprawy publiczne krajowe, tak, jak go tam patrzeć nauczono, to jest jak dla ambicyj możnowładców było dogodniej. Po dworach bowiem zeszłowiecznych niknęły starożytnie cnoty, zamiłowanie

ogólnego dobra i kraju; tworzyły się stronnictwa i dworzaniin każdy, spoglądając na rzeczy wzrokiem swych chlebobawów, stawał się ślepelem narzędziem, niewolniczym służalcem, dzieląc zataragi możnych niecne zamysły złych, nie dbał wcale o dobro publiczne, ale tylko o względy swojego chlebobawcy. Dwory więc ówczesne nietylko nie były szkołą cnoty i dobrych obyczajów, jak chce mieć Gołębiowski, ale przeciwnie: stały się rozsądnymi zepsucia i znikczemienia.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w pierwszych dniach Grudnia 1885 r.

Nie pamiętają Krakowianie, by w ciągu ubiegłych kilkunastu lat miesiące zimowe zapowiadały się taką ciszą na polu życia towarzyskiego, jak w roku bieżącym. Listopad dobiegł do kresu swych dni, nawet Grudzień się rozpoczął, a ciągle jakoś ciemno w oknach tych salonów, które w poprzednich latach gromadziły większe lub mniejsze zastępy towarzyskie. Jedni na czas dłuższy pozostali zagranicą, inni na wsi, zatrzymani żalobą lub kłopotami, inni wreszcie, jakby znuzeni, opuścili rece — i zamknęli się wśród ścian swych salonów. Nigdy tu wprawdzie nie byliśmy zbyt ruchliwi, zbyt towarzyscy, nigdy nie zrywaliśmy tak już dalece z przesadami, aby podwoje naszych salonów zbyt szeroko się otwierały; niemniej jednak Kraków dawniej znacznie się ożywił, i to nie tak bardzo nawet, przed niewielu laty. Było to za panowania — w Krakowie — ówczesnego prezydenta miasta, a obecnie marszałka sejmowego Zyblikiewicza, który przez swą energią, pomysłowość, poczucie potrzeby życia wspólnego, stał się dźwignią towarzyskości naszej. Jednocześnie pobyt arcyksięcia Fryderyka (w r. 1880) z małżonką, arcyksiężniczką Izabellą, przyczynił się potężnie do obudzenia się starego a poważnego Krakowa ze zwyczajnej drzemki. Wieczory zabawy, w większym bądź mniejszym zakresie, obiady, recepcye stały i niestały, jedne drugie zmieniały. Łączyły się w ten sposób koła i kółka, wzajemnie poznawano się, zbliżano, zacieraly się niechęci, uprzedzenia; przy bliższem zetknięciu przekonywano się, iż wzajemny szacunek może łączyć rozdzielonych różnicą przekonań. Dziś niema tu takich ognisk towarzyskich, przynajmniej większych, któreby skupiały ludzi różnych stanowisk, różnych warunków materyalnych, lecz jednego mniej więcej umysłowego poziomu.

Brak wpływowych inicjatorów do ożywienia kół i kółek naszego grodu nie jest jedyną przyczyną owego uspienia życia towarzyskiego. Złożyły się na to i inne okoliczności. Żyjemy tu w jakiejś dusznej ciężkiej atmosferze. Niejeden umysł doznaje trwogi, ulega złowrózbym przeczuciom. Od paru lat już coś tu przynębia duszę; powściąga fantazją, studzi uczucie przyjemności życia — i na takim usposobieniu towarzyskość, salonowość nasze w poważnem znaczeniu źle wychodzić musi. Zkąd te uczucia wyszły, co je podsyca? Trudno odgadnąć; dość, że są. I wylewy wód ich nie zalały i mróz nie ścina i słońce nie wypala: są — nie ustępują. Owszem dodaje im siły wzmagająca się bieda materyalna wskutek przesilenia ekonomicznego i tysiące innych braków, na które wciąż się miejscowa tutejsza społeczność skarża. Wobec klęsk i bied wielorakich nie dziwmy się, że się nam tu licznym złowrózbym przeczuciom opędzić niełatwo, zresztą i niezbyt próbujemy opędzać się, a semsamem i życie towarzyskie nie rozwija się, — raczej tentna jego słabną i ustają.

Teraz rozejrzijmy się po półkach księgarskich, po tej dziedzinie myśli, gdzie odpoczynek duch znuzony drobiazgam powszedniego życia znaleźć powinien.

Piękną zewnętrzną postacią nęcącą nas prze-

1) Wł. Łoziński „Z estetyki i z życia“. Lwów, 1872.

dewszystkiem trzy duże tomy, z których jeden ozdobiony portretem autora, są to trzy tomy dzieł J. Szujskiego, nie stanowiące wszakże ciągu. Podzielono to zbiorowe wydanie na trzy serye, stosownie do liczby dziedzin, wśród których zmarły autor pracował: poezye, dramata, powieści zapełnią I seryę, historia wytworzy II seryę, a serya III składać się ma z artykułów treści politycznej. Dotąd z każdej z rzeczonych wydano tylko po jednym tomie. Zdaje się, że długie jeszcze miesiące wychodzą będą dalsze tomy, których sporo ma być, gdyż komitet wydawniczy wszystkie, w najszerszym zakresie tego wyrazu, prace Szujskiego ma zawrzeć w rzeczonym, zupełnym wydaniu. Przedrukowują się tedy rzeczy gdzieindziej wydawane, po pismach peryodycznych w ciągu lat wielu rozsiane; sięgnięto i do rękopism, głównie co do poezyi z epoki pierwszej młodości poety i, co jest pospolicie rzeczą rzadko zdarzającą się, wydobyto z tych skryptów doby rozpoczynającej się twórczości, parę dość cennych kiejnocików. Liryka Szujskiego w 1-ym tomie zupełnie już zamknięta została, chociaż nie umieszczono w nim wielu utworów w czasopismach niegdyś ogłaszanych. Okazuje się zatem, że wydanie zbiorowe, dla jakichś względów czy względziwogólnie nie będzie. Tom z działu stori, nazwany V, zawiera kilkanaście rozpraw w przeważnej części związanych ściśle z dziejami polskimi. Postacie niewieście naszej przeszłości, tak pamiętne z różnych względów, jak Anna Jagiellonka, Maryna Mniszchówna, Marya Ludwika Gonzaga, trzy żony Zygmunta Augusta, przesuwały się w tej książce przed okiem czytelnika, obok wielu innych kwestyi dziejowych, poruszanych w artykułach, i świadczących o wielkiej erudycji i pracowitości autora, lecz zarazem i niejakiej pobieżności w traktowaniu przedmiotu. Gorączkowa działalność Szujskiego miała w następstwie swem tę pobieżność, ten pośpiech przejawiający się w zawisłościach stylu, w powtarzaniu się—w ogóle wtem, co stanowi ujemną stronę żmudnej pracy tego utalentowanego, ale jako talent zmarnowanego człowieka. Tom z dziedziny prac politycznych (I z seryi III), mniej budzi powszechnego zaciekawienia. Są tam wszakże dla przyszłych studyów o stanie społeczeństwa galicyjskiego niejedne sylwetki z fotograficzną zdjętą ścisłością. Potomność, jeżeli kiedy zasiądzie do opracowania dziejów naszych przeobrażeń obyczajowych, nie będzie się mogła obyć bez owych zarysów z życia tutejszej prowincyi, jakimi są owe np. „Portrety Nie-Van-Dyka“, od których rzeczony tom rozpoczyna się.

Wcześniej nieco od dzieł J. Szujskiego wyszła z tejże samej oficyny drukarskiej (Kraków, Fr. Kluczycki i Sp.), maluczka książeczka, będąca w pewnego rodzaju duchowem powinowactwie z rzeczonym dziełami. Jest to praca prof. Stanisława Tarnowskiego, „Szkolne lata Szujskiego.“ Wydających udatny obrazek, naszkicowany wprawą ręką artysty ze szczególnem zamilowaniem, co spowodowało rozlanie na całość łagodnego światła, uwydatniającego sympatyczne strony przedmiotu—miano, zdaje się, na myśli przygotowanie niejako czytelnika do studyowania zupełnego zbioru dzieł Szujskiego.

Od jego śmierci (r. 1883) nie posiada już Kraków ani tak wszechstronnego i pracowitego niezmiernie pisarza, ani też wogóle wybitnych osobistości naukowych. Półki księgarskie świadczą o tem. Przebiegając okiem szeregi książek, broszur, z liczby niedawnych wydań, widzimy, że ich większość nie jest owocem miejscowej produkcji. Te nawet, co wśród naszych murów opracowano, nie wszystkie w tutejszych tłoczniach odbito.

Prace np. Dr. Hugona Zathéy'a, o Homerze, nad *Panem Tadeuszem*, w wydaniach nowych, poprawnych, ukazały się obecnie w Poznaniu. Tutejsi przedniejsi pracownicy owoce swych studyów zamykają pospolicie w wydaniach poważnych Akademii Umiejętności. Wydania te w znacznej części dostępne są tylko dla specjalistów, „szersza“ publiczność mało lub wcale się nimi nie zajmuje.

Mówiąc o pracach poważnych, niepodobna nie

oddać hołdu nader poważnej, a unikającej rozgłosu zasłudze, jaką jest wieloletnia działalność na polu wyższego kształcenia kobiet Dra Adryana Baranieckiego. U nas, gdzie o inicjatywę, o środki do urzeczywistnienia każdego projektu, a szczególnie o wytrwałność, tak trudno, zjawisko to niezwyčajne, iż człowiek prywatny o miernych środkach, z zupełnem zaparciem się siebie, podejmuje trud tak znaczny—zakłada dla kobiet rodzaj akademii i cały szereg lat na własnych barkach pracę tę dźwiga. Nikt go nie wspiera, nikt mu nie podaje ramienia, by ulżyć ciężaru przy niesieniu tego ciężkiego brzemienia; owszem, na każdym kroku zawady i troski utrudniają mu drogę, lecz poczucie obywatelskiego obowiązku go wspiera, a miłość dobra powszechnego dodaje sił, łagodzi przykre znoju wrażenia.

Rok ósmnasty już się rozpoczął od chwili, gdy Dr Baraniecki, przy założonem przez siebie w Krakowie, Muzeum Techniczno-Przemysłowem urządził wykłady dla kobiet. Troskliwość, z jaką pospolicie bywają katedry osadzane, przystępność warunków przyjęcia do tego wyższego zakładu, ułatwienia wielorakie, których nie szczędzi dla swych słuchaczek czcigodny założyciel a zarazem dyrektor tej instytucyi, sprawiają, iż niemała liczba kobiet szukała tam wiedzy głównie z innych dziedzin.

W następnych korespondencyach nie omieszkam podawać większej ilości szczegółów o owym jedynym w swym rodzaju zakładzie na ziemi naszej. Obecnie pragnę kilka słów poświęcić pamięci zmarłych. Przedewszystkiem mogiły niewieście, niedawno usypane, czekają na słowo wspomnienia i uznania.

Zdała od swoich, zdała od szarego nieba, gdzie niegdyś światło dzienne ujrzała, skończyła cichy a pracowity żywot, w Szwajcaryi, w Thun, Wincenta z Szadurskich Limanowska, żona literata, byłego współpracownika *Bluszczu*. Zmarła pracowała na piśmiennem polu, tłómacząc dość dużo, a przekłady jej pióra umieszczały pisma warszawskie.

Odbывała ona przed wędrownkami zachodniemi dalekie na północ podróże i, wreszcie, po wyjściu za mąż, mieszkała czas dłuższy w Galicyi. Znużona pracownica, odeszła do życia lepszego w połowie Listopada b. r.

Drugą mogiłą niewieścią, którą przed kilku zaledwie dniami tu, w Krakowie, usypano, jest mogiła Emilii z Pancerów *Ehrenbergowej* ur. w Warszawie w r. 1827. Zgasła ona nagle d. 2 Grudnia. Ś. p. Emilia była żoną sędziwego, pełnego zasług poety Gustawa Ehrenberga, sama zaś pracowała na polu literatury kształcącej młode pokolenia. Praca jej spotykano w *Przyjacielu dzieci* a w roku 1862 wydała w Warszawie swój przykład dwutomowego dzieła znakomitej angielskiej autorki, miss Edgeworth o wychowaniu domowem. Troskliwa strażniczka ogniska domowego, przy którym spędziła ćwierć wieku pożytecznego znoju, znajdowała ona czas i na prace pióra. Pozostało po niej kilka utworów jak *Poezje z życia świętych* i dramat *Męczennicy rzymscy*. Przerwana niespodzianie nić tego pożytecznego istnienia bolesny oddźwięk znalazła wśród ludzi umiających cenić pracę i ciche zasługi niewieściego żywota.

Żalobną kroniczkę dni bieżących zamykam wieścią o blizkiem, zdaje się, urzeczywistnieniu myśli postawienia pomnika przedwcześnie zgasłej poetce Maryi Bartusównie. Myśl ta, acz nie na krakowskim bruku powstała, w życie tu wchodzi, w Krakowie bowiem odbywa swe studia pana Antonina Roźniatowska, rodem z okolic Berdyczowa, rzeźbiarka pełna talentu, której ma być poruczonem wykonanie projektu pomnika. P. Roźniatowska od dłuższego już czasu oddaje się rzeźbie, uczęszczając na wydział sztuk pięknych do wyższego zakładu naukowego dla kobiet, gdzie się kształci pod kierunkiem p. Marc. Gujskiego. Niektóre produkcje rzeźbiarskich jej prac były na tutejszej wystawie i uwidocznily pracę, zdolność wyższą i wskazywały sumienne studya; przed paru już laty widzieliśmy piękną, przez nią wykonaną, płaskorzeźbę; była-to głowa starca, z natury modelowana. Głowa ta, odtwarzająca cenne dla Podola rysy D-ra Jachi-

mowicza, stuletniego starca, obecnie już nieżyjącego, a macierzysszego dziadka artystki, zapowiadała talent prawdziwy a wskazywała poważne zapatrywanie się na sztukę.

Nie wątpimy, iż z tego zadania wywiąże się młoda artystka szczęśliwie, wlewając w martwy kamień nie jedną iskrę swego talentu. Myśl powierzenia p. Roźniatowskiej wykonania pomnika powstała z powodu uchwały lwowskiego komitetu uczczenia zmarłej poetki, postanowiono tam bowiem dla ujawnienia istniejących u nas rzeźbiarskich uzdolnień niewieściech, złożyć robotę około pomnika wyłącznie w ręce kobiece. Tak więc rysunki modeli dokonane zostały przez hr. A. Potocką, dłuto panny Roźniatowskiej ma model urzeczywistnić; pomnik zaś wznosząc co najsłabiej, z pozostałej części funduszu, zebrać się mającego z ofiarności publicznej, mają wytworzyć żelazny kapitał pomocy dla kobiet z talentem literackim ginących wśród tak twardej walki z losem, jaka obaliła już niejedną, a ostatnimi czasy Maryą Bartusównę. Pomysł to chwalebny; mocno wierzymy, iż każda z niewiast naszych rzuci bodaj grosz ubożuchny do skarboxy ofiarności publicznej, aby „mogła wieszczki nie pozostała równie ubogą jak ubogiem było jej życie“... ale mimowoli nasuwa się nam pytanie: dla czego tak późno myślimy o tem utalentowanem dziewczęciu? Pozwoliliśmy burzom życia złamać tę pożyteczną latorośl, pozwolono jej walczyć bez dłoni pomocy, bez słowa współczucia... a dziś... roztkliwimy się nad jej mogiłą. Czyż owe westchnienia współczucia nie są zbyt spóźnione? Biednemu dziewczęciu nie już teraz nie potrzeba.

7

## Kronika działalności kobiecej.

— Dziennik Łódzki odzywa się z wdzięczności o tamtejszych komitetach pań dobroczynnych, które na *Gwiazdkę* dla ubogich wygotowały znaczne zapasy odzieży cieplej, do czego przyłożyły się pocziwie własnoręczną pracą. Panie cyrkulu III-go pod przewodnictwem p. Meyer, wykończyły najwcześniej zadanie swoje — całkowite ubranie dla 160 osób: chłopców, dziewcząt i kobiet sędziwych.

Tenże dziennik pisze, że w Łodzi wiele sklepów z bielizną gotową, w których zaopatruje się ludność uboższa, pracująca, więc nie mająca dość czasu do wyrabiania jej sobie w domu, posiada towar tak lichy, że na trzeci dzień noszenia koszula drzeć się zaczyna. Jest tam więc miejsce dla uczciwej pracy kobiecej. W Poznaniu, gdzie podobne sklepy z odzieżą ludową dopuszczały się również niepocziwego wyzysku, utworzyło się towarzystwo kobiece wyrobu taniej odzieży, i rozwinięwszy działalność, doszło do najpomyślniejszych rezultatów. Obecnie istnieje w Poznaniu dobrze prosperujący sklep towarzystwa; obok tego rozsyła ono za pośrednictwem swoich agentów różne przedmioty odzieży dla ludu wiejskiego i małomiasteczkowego na targi i jarmarki okoliczne, na czem wychodzi jak najlepiej.

— Kobiety wiejskie z powiatu przasnyskiego, z tak zwanych Kurpiów, dostarczyły do Płocka pewnego rodzaju papierowych patarafek — to jest kręgów papierowych wycinanych kunstownie w rozmaite desenie. Takie wycinania papieru przez kobiety wiejskie, ma miejsce w wielu okolicach naszego kraju, dowodząc zmysłu artystycznego, który bez żadnej nauki rysunku i wzorów, tkwi w ludzie, domagając się użytkowania. Dziś przy maszynowem wycinaniu papieru, trzeba by pomyśleć o innem go zastosowaniu, bo konkurencya jest niemożliwa z niezmiernie tanim wyrobem maszynowym.

— Literackie kółko mieszkanek miasta Turka znów występuje na jaw wiadomości publicznej w trzeciej swojej odmianie. Istnieje ono, jak się dowiedzieć można z korespondencyi zamieszczono-

nej w *Kaliszaninie* przez „mandataryuskę kółka,” tylko nie z tak rozległą działalnością, jak głoszą, a zdaje się, że i nie z takimi pragnieniami jakie mu dobroduszenie przypisywano. Uczestniczki „nie zasklepiając się w swojskości, interesują się zarówno” tak Mickiewiczem, jak mnóstwem innych poetów, a muszą to być polyglotki nie lada, ponieważ między wymienionymi poetami są i piszący w językach takich, których literatury nie bywają zwykle studyowane przez kobiety nasze. O prozaikach już tu wcale mowy niema, a szkoda jednak, bo niejeden z nich uczy myśleć i czuć dobrze, sięgać gruntu rzeczy. Grono owych pań, jak mandataryuszką kółka wyznaje skromnie, „nie sięga po laury Safony lub Korynny,” jakkolwiek Kalidasa, bo „i indyjska literatura nie jest im obcą” zarówno ich interesuje i zachwyca jak Mickiewicz. A nie czują się też bezsilnymi, gdyż mandataryuszką ich pisze: „Wszakżeśmy wyszły z natury zbrojne, jak Minerwa z głowy Jowisza.” Cóż to za dobroczynna ta natura!...

— Krakowskie stowarzyszenie dobroczynne wspierania ubogich wdów, nazywające się *Stowarzyszeniem S-tej Salomei*, upadło w zeszłym miesiącu dla braku środków. Założone w roku 1877 przez księdza Jana Siemieńskiego, rozwijało najpożyteczniejszą działalność, tak wspierając ubogie wdowy datkiem pieniężnym, jak i wynajdując im pracę, dopomagając do niej przez środki pomocnicze. Sklep założony w Krakowie dla zbytu robót towarzystwa, nie mógł jednak znieść konkurencji sklepów prywatnych i wyczerpanie w ten sposób funduszy towarzystwa doprowadziło do rozwiązania go, o czym przewodnicząca stowarzyszenia, p. Helena Darowska, zawiadomiła publiczność przez dzienniki.

— Księżna Ghika, siostra królowej Natalii serbskiej, pojmując w znaczeniu szlachetnem obowiązki związku między siostrami, pospieszyła do Serbii zaraz z pierwszą chwilą wybuchu wojny, aby stanąć do pomocy królowej w jej patriotycznej pracy. Księżna Ghika znajdowała się zawsze na dworcu belgradzkiej kolei żelaznej w chwili przybywania pociągów z rannymi, zwłaszcza po okrutnej klęsce pod Sliwnicą. Ona przyjmowała biedaków, układać ich kazała na przygotowane w tym celu sienniki, gdzie w razie potrzeby otrzymali opatrunek lekarski, lub odpoczywali po strudzeniu. Księżna również rozporządzała sama ich rozsyłaniem do szpitali, aby bez zamieszania i omyłek, każdy znalazł odpowiednie miejsce. Lud Serbski uwielbia też siostrę królowej swojej.

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Listopadzie 1885 r.

Współzawodnictwo Ameryki i spadnięcie cen zboża sprowadza coraz groźniejszy przełom agrarny, sprawia, że ilość fabryk u nas się wzmacnia i przemysł nabiera coraz większego znaczenia. Z wyjątkiem przemysłu górniczego, mamy już we wszystkich główniejszych gałęziach działalności przemysłowej dość znaczne zakłady fabryczne. W kopalni W. Księstwo Poznańskie nie obfituje; najznakomitsze są zupy solne w Inowrocławiu. Znajdują się jeszcze pokłady węgla brunatnego, a głównie torfu; mamy też i swoje wapno. Pokładów kruszcowych, w jakie obfituje południowa część królestwa, dzielnica nasza zupełnie jest pozbawiona. W liczbie zakładów przemysłowych posiadamy już około tysiąca poru-

szanych parą. Cukrowni przy obliczeniu znalazło się szesnaście; jest kilkanaście przedalni, blisko pięćset gorzelni, półtora sta browarów, poważna ilość mączkarni i garbarni, kilka hut szklanych. Najwięcej stosunkowo w kraju rolniczym jest wiatraków, młynów wodnych lub parowych. W ogóle, mimo przesilenia finansowego, liczba przemysłowych przedsiębiorstw wzmacnia się ustawicznie; jedne tylko tartaki z każdym rokiem zmniejszają swą liczebność, ponieważ starodrzewia w wytrzebionych już wielce lasach zabrakło. Zostało zaledwie nieco leśnych kniei na królewskich lub w majątkach wielkich panów jak hr. Zamoyskich, ks. Radziwiłłów i Thurn-Taxis. Z zestawień statystycznych okazuje się jawnie, iż przemysł fabryczny nie zmniejsza bynajmniej zakresu ręcznego zarobkowania. Owszem, im więcej takich zakładów i machin się w kraju znajduje, tem większe też otwiera się pole pracy dla coraz liczniejszych robotników; w minionym roku było ich bez mała 31,000, zatrudnionych przy fabrykach pozośnie u nas dość rzadko rozsianych. Niestalość dzisiejszych stosunków przejawia się w tym kierunku. Przed kilku laty wszyscy się rwali do cukrowni, widząc w nich jedyny ratunek przeciw zagładającej powszechnie w oczy ruinie. Dziś prąd spekulacyjny zwrócił się przeważnie ku mleczarniom na wielką skalę urządzonym, z centrifugami i separatorami, a pono już i to się przejechać, zaczyna i niebawem znacznie szukać nowych dróg zbytu i zysku.

Zamarłe w księstwie życie towarzyskie budzi się co jesień, z powodu zabaw myśliwskich, które wszelako zatracają dawne towarzyskie cechy. O to bowiem przedewszystkiem dziś chodzi, aby jak najmniejszą liczbą strzelb, powalić jaknajwięcej zwierzyny. Surowo przestrzegane prawa ochronne tak dalece rozmnożyły liczbę sarn, kuropatw, bażantów, a mianowicie zajęcy, że polowania wielkopolskie mogą już iść o lepsze ze Słazkiem i Czechami. Zmienia się obecnie swojski charakter zabaw myśliwskich. W miejsce utartych przez zwyczaj nagonek, niektóre okolice zamarzyły o polowaniach angielskich *par force* lub *Rally-paper*. Przed kilkudziesięciu laty kosztowna ta rozrywka przyczyniła się do zruinowania księżęcej u nas fortuny.

Dziś już rozsądek jednych, bieda drugich, wstrzymuje ogół obywateli księstwa od trzymania na stajni kosztownych angielskich biegunów; zostało szczupłe grono namiętnych sportsmenów, mogących sobie do pewnego stopnia pozwalać na tak drogie fantazyje.

Nagięta geometrya wyborcza, czyli dowolne ustanawianie nowych okręgów, oraz pogroźki utraty miejsca chleba i zarobku, czynione ludziom dworskim i czeladzi, w majątkach do właścicieli niemieckich należących, odniosły spodziewany skutek, zmniejszając naszą reprezentacyą o trzy mandaty; z ósmnastu posłów zeszlismy na piętnastu, zresztą skład Koła Polskiego został mniej więcej jednakim.

Tymczasem rozpoczęły się już obrady parlamentarne, a przedstawiony ciału prawodawczemu etat poczty za rok 1884 imponująco świadczy o rozwoju tej „znoszącej przestrzeń” instytucji, pod genialnym niemal kierunkiem, jaki jej nadał obecny sekretarz stanu Dr. Stephan. Imię jego w rocznikach pocztowych nie mniejszą błysnie sławą, jak nazwisko sir Rowlanda Hill, twórcy t. zw. *penny-post*, który przez obniżenie taryfy od listów zgotował olbrzymi rozwój poczty w Anglii i jej koloniach. Ze statystyki przywiedzionej przez Dra Stephana, dowiadujemy się, iż wszystkich biur pocztowych mamy już w Prussach pokaźną liczbę 13,405. Samych urzędników jest całe wojsko, bo 77,980. Listów w jednym roku przez pocztę

pruską przeszło 701 milionów, kart korrespondencyjnych 213 milionów, 201 milionów przeróżnych druków, a ni mniej, ni więcej, tylko 415 milionów numerów rozmaitych gazet! Jakże tu nie uznać potęgi prasy! Liczba przesyłek pieniężnych i wartościowych dorosła 15,543 milionów marek. Samej przewyżki dochodu okazało się z górą 26 milionów; tak znaczne bowiem korzyści ułatwienie środków komunikacji państwu przynosi. Wzrost telegrafów i sieci telegraficznej podobnie się udawadnia z raportu Dra Stephana. Liczba depesz przeszła 13 milionów, a lakonizm ich tym się faktem ujawnia, iż zaledwie 9 procent z nich liczyło więcej od dwudziestu słów, a w 10 procent wystarczyło pięć wyrazów, aby wyjaśnić odbiorcy myśl za pomocą elektryczności przeniesioną.

Oczywiście, ciągle zmiany stosunków i warunków wpływają na przyrost jednych gałęzi pocztowych, a ubytek drugich. Powoli znikają niemal sztafety, extrapoczty, głuchnie pocztylionów trąbka, dyliżanse wkrótce do przeszłości tylko należeć będą; za to poczta kolejowa zakwita i codziennie na swe usługi używa blisko 5,000 pociągów, posiadających biura pocztowe. Rozmnaża się też w nieskończoność liczba listonoszów, i to nie tylko pieszych, ale jeżdżących wózkami pocztowymi. Wszystko bowiem zmierza do przyspieszenia obrotu przesyłek, a angielskie *Time is money* w obecnym ustroju poczt pruskich najlepsze znajduje zastosowanie. Wszystko to podwaja gorączkę życia, rwącego się naprzód z nieopisaną szybkością. Jeśli zaś uda się coraz częściej poruszony zamiar niższenia taryfy kolejowej do jednolitej opłaty, podobnie jak taryfy listów, które za 10 fenygowym znaczkiem całe obiegają państwo, bez względu na odległość, — zmieniają się też do reszty warunki bytu, zniknie dotychczasowe ustalenie stosunków i domowego życia, a cała ludzkość chyba wróci do koczowniczych obyczajów, aby dni swe w ciągłym pędzie ruchu i, nie zagrzaszyszy miejsca, dopędzić do końca ziemskiej wędrówki, która bardziej, niż kiedykolwiek, na to miano sobie zasłuży.

Już i tak znikająca przestrzeń, coraz-to zbliżając się ku sobie odległe kresy, ułatwia zetknięcie się ludziom, którzyby się dawniej nigdy nie byli spotkali.

Nie zatrzymamy się nad wszystkimi korzyściami, które z tych związków płyną dla ogółu: rozszerzenie zaś stosunków i sposobu widzenia dodatnio działa na pojedyncze domy i rodziny, odejmując im stopniowo, niegdys cechującą księstwo, dążność do jakiegos ciasnego prowincjonalizmu.

(Dokończenie nastąpi.)

## OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Wydziedziczony*, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Złamana tarcza, Powieść, (dalszy ciąg). — Nasze towarzystwa i salony, Odczyt, (dalszy ciąg), przez Piotra Jaxę Bykowskiego. — *Korrespondencya zagraniczna*, Kraków. — *Kronika działalności kobiecej*. — *Korrespondencya zagraniczna*, Poznań.

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Wydziedziczony*, przez Łukasza Malet'a — 22 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekreta gospodarskie* — *Dyspozywą stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda synów, ulica Bełcarska Nr 26

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Пензурою.

Варшава 11 Декабря 1885 года.



## DODATEK DO BLUSZCZU.

N<sup>o</sup> 51.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

## Koszyk do papieru ozdobiony haftem.

Rycina Nr 3 i 4.

Koszyk trzcinowy koloru „beige“, przybrany podług ryciny, zębami haftowanymi, na odpasowanym materiale przerabianym złotą nitką, różnokolorową włóczką hamburską, filozelą i złotą pszędzą, ścięciem płaskim, gałazkowym, supełkowym, langetkowym i pocztowym. Po wykończeniu haftu należy obzyć nim górny brzeg koszyka, przesuując na czterech rogach pod narożne paceczki, brzeg zębów przykryć grubym sznurem, włóczki zielonej i przybrać koszyk bombelkami i kwastami z włóczki podług ryciny.

## Kołderka na wózek dziecienny lub kolebkę szydełkową robotą.

Rycina Nr 7.

Kołderka złożona z 7 pasów, mniej więcej 75 centymetrów długości mających, z których cztery zrobione są ściśłą robotą szydełkową z deseniem wypukłym, niebieską kastorową włóczką, przeciągane następnie niebieską błyszczącą włóczką, podług ryciny 40, w Bluszcz. Nr 52; trzy pasy pozo-

stałe są całe w pukielki, z białej kastorowej włóczki, naszyte są pomponikami z włóczki niebieskiej — takiż brzeg kołderki, zakończony jeszcze ząbkami z niebieskiej błyszczącej włóczki. Każdy pas niebieski rozpocząć na założeniu z 16

oczek, robiąc tam i napowrót. Kolej 1: Najbliższe ocz. opuścić, 15 ściśłych oczek w następane 15 oczek. Kolej 2: 1 powietrzne oczko, 15 ściśłych oczek w 15 oczek poprzedniej kolei. Kolej 3: 1 powietrzne oczko, \* 3 ściśłe oczka

w następane 3 o., 1 słupek o prostopadłe żyłki przedostatniej kolei, w prostym kierunku do przedostatniego ściśłego oczka tejże kolei, jednakże górne żyłki słupek nie należy przerabiać, 1 słupek o takiej żyłki czwartego z rzędu oczka i dopiero razem z górną żyłką pierwszego słupek przerobić, następane oczko poprzedniej kolei opuścić, od \* dwa razy powtórzyć, 3 ściśłe oczka w następane 3 oczka. Kolej 4 jak 2. tylko należy opuszczone w poprzedniej kolei oczko chwycić, przerabiając słu. Kolej 5: 1 powietrzne oczko. 1 ściśłe oczko w następane ocz., \* słupek w prostopadłą wierzchnią żyłkę dwóch poprzednich przerobionych słupeków przedostatniej kolei, następane oczko poprzedniej kolei opuścić, 3 ściśłe ocz. w następane 3 o., 1 słupek w tę samą żyłkę, gdzie poprzedni słupek górnej żyłki, nie przerabiać jeszcze, od \* powtórzyć dwa razy, przy każdym jednak powtórzeniu, górną żyłkę następnego słupek, przerobić z górną żyłką poprzedniego słupek, poczem najbliż-



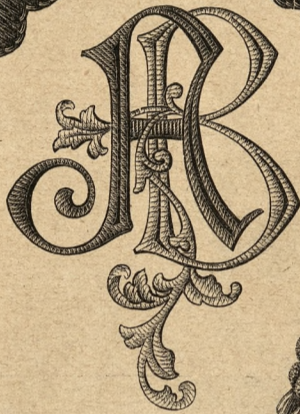
Nr 1. Sortie-de-bal z aksamitu.

Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 26 — 30.

Nr 2. Sortie-de-bal z kaszmiru.

Opis odwr. str. tabl.

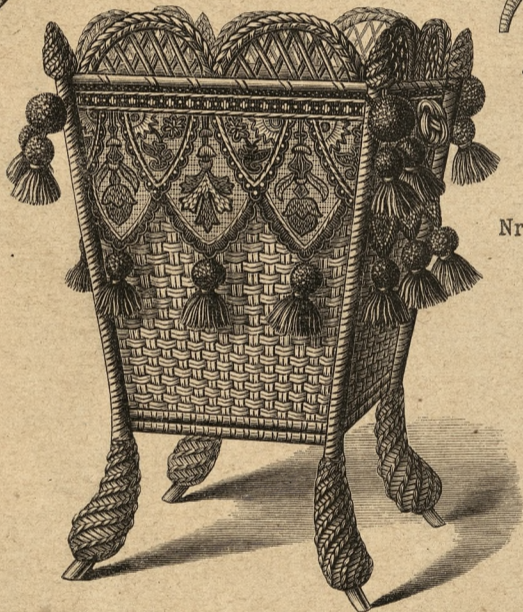
sze oczko poprzedniej kolei opuścić, 1 ściśle oczko w następne oczko. Powtarzać 2 do 5 kolei, aż do potrzebnej długości pasa i zakończyć go z dwóch stron 1 kolejną ściślych oczek. Białe pasy rozpoczynają się na założeniu z 15 ściślych oczek. Kolej 1: najbliższe oczko opuścić, 14 ściś. ocz. w poprzednie 14 oczek. Kolej 2: 1 powiet. ocz., 1 ściśle oczko podkładając na lewej stronie tej kolei waleczek 5 centimetrów obwodu mającą, \* z oczkiem na szydelku 1 ocz. w następne ocz., poczem włóczką otoczyć waleczek, 1 ściśle ocz. w te same oczko i wszystkie na szydelku będące razem przeciągnąć. od \* 11 razy powtórzyć i 1 ściśle oczko w najbliższe oczko. Kolej 3: 1 pow. oczko, 1 ściśle łańc. oczko w każde oczko poprzedniej kolei. Należy powtarzać naprzemian 2 i 3 kolei, aż należytej długości pasa, poczem z obu stron obrobić go jedną koleją ściślych oczek. Połączenie pasów robi się niebieską błyszczącą włóczką, 1 oczko ściśle w jedno oczko ściś. w drugi pas, naprzemian. Szlak robi się białą włóczką, w pukielki, na założeniu odpowiadającym szerokości kołderki, dodając z każdej strony po 9 oczek na szerokość szlaku; po wykonaniu 5 rzędów pukielków, na 9 oczkach wyżej wspomnianych, należy rozpocząć szlak poprzeczny, do należytej długości doprowadzić, poczem równoległy do pionowego i wreszcie ostatni, w ten sam sposób wykonać i połączyć szlak z kołderką; następnie wypada otoczyć całość ząbkami, czyli jedną koleją ściślych oczek, 1 ściś. ocz. w drugie oczko, 1 ocz. opuścić, 9 słup. w następne ocz., na-



Nr 3. Zęby haftowane do ryc. 4. Wielkość naturalna.



Nr 6. Znak do bielizny.



Nr 4. Koszyk do papieru z haftem. (Do ryc. 3).

Nr 5. Znak do bielizny.

ściślemi oczkami w odstępie  $\frac{3}{4}$  centim. jeden od drugiego, obrabiając pasy z tkaniny „Ofelia“, należy jedno oczko bliżej brzegu, następną głębiej zajmować. Pas na kanwie haftuje się podług ryciny 33 w Bluszczu Nr 52, włóczką i filozelą, kolorami objaśnionymi znaczkami pod ryciną, poczem pasy się łączą po lewej stronie, jedną koleją ściś. ocz., filozelą oliwkowego koloru, całość zaś obrabia się w około jedną koleją drobnych łuków, \* 1 ściśle oczko w najbliższe następną ocz., 9 sł. w następną o., 1 ocz. opuścić i od \* powtórzyć.

**Tualeta wieczorowa z aksamitu i koronki.**

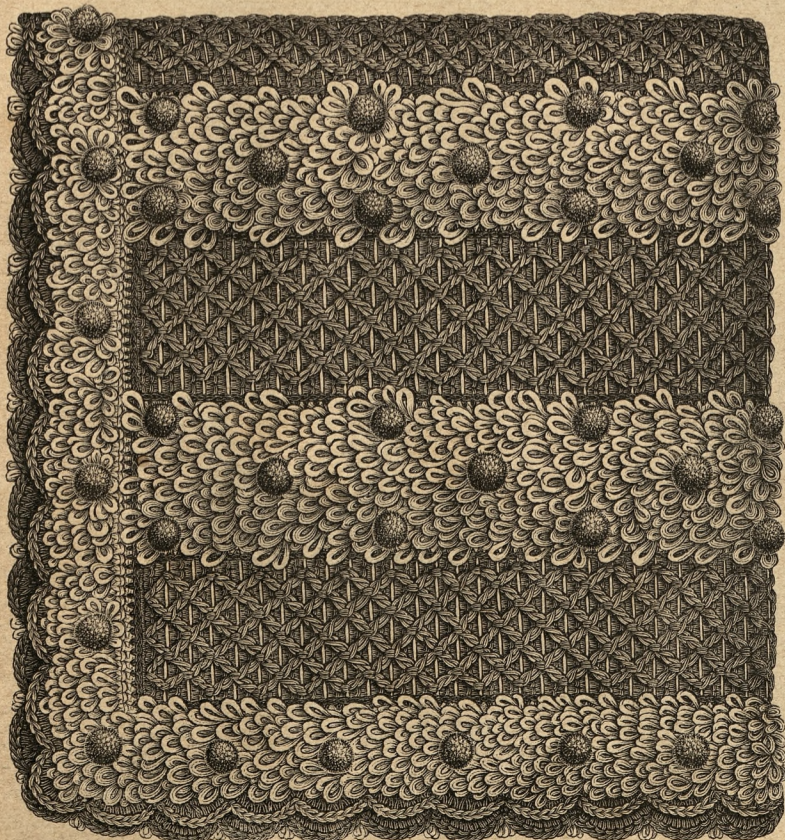
Rycina Nr 13.

Przedni i boczne bryty z „satin-merveilleux“ koloru „crème“, przybrane uplisowaną koronką kremową, z przodu na 50 cent. Długi tren z oliwkowego aksamitu, łączy się z jednego boku z aksamitną draperią skosnie ułożoną na spódnicy. Staniczek aksamitny z szelkami, u dołu przybrany patkami, wyciętymi z aksamitu, haftowanymi złotem; także patki przy tiunice, każda zakończona złotą grełotką.

**Tualeta balowa dla młodych osób.**

Rycina Nr 14.

Spódniczka krótka, przybrana wysoką, w kontrafaldy ułożoną falbaną z brokateli jedwabnej,



Nr 7. Kołderka na wózek lub kołyskę szydełkową robotą. (Do ryc. 40 w Blu. Nr 52).

koniec 1 ściś. łańc. oczko w 1 oczko tej kolei.

**Kołdra krzyżowym ścięciem i robotą szydełkową.**

Rycina Nr 8.

Kołdra z pasów 145 cent. długich, haftowanych na kanwie „Aida“ i z tkaniny „Ofelia“ koloru oliwkowego. Każdy pas z każdej strony obrobiony jest szydełkiem, włóczką ciemno-oliwkowego koloru,



Nr 8. Kołderka krzyżowym haftem i robotą szydełkową. (Do ryc. 33 w Blu. Nr 52).

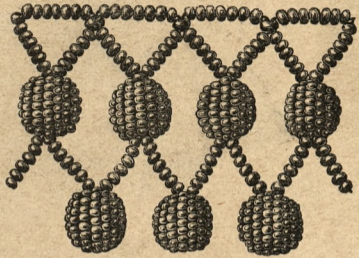
(na różowym tle ciemniejsze desenie). W ukos udrapowana tiunika, oszyta jest wszywką, koronką i otoczona girlandą z polnych róż różowych i pąsowych. Sznury i kwasty z pereł zdobią stanik z tyłu sznurowany.

### Dwa desenie na rzucik lub tło krzyżowym, płaskim, supełkowym i pocztowym ściegiem.

Rycina Nr 15 i 16.

Desenik wykonany na grubym płótnie żółtego koloru, pąsowym i oliwkowym kordonkiem, oraz cienkim złotym sznureczkiem. Dla wykonania takowego, należy pąsowym kordonkiem przewlekać kilka razy obok siebie, w kierunku ukośnym, z lewej strony ku prawej, w odstępach 16 nitki tkaniny, poczem tak samo z prawej strony ku lewej. W miejscu gdzie się linie przecinają, robi się krzyżyk prosty złotym kordonkiem, oliwkowym jedwabiem, ozdabia się kwadracik w środku płaskim ściegiem.

W rycinie Nr 16 przewleka się kordonek w kierunku poziomych i prostopadłych linii, poczem w punktach przecięcia robią się krzyżyki haftu z złotego sznureczka, a w kwadracikach haftują się drobne figurki, ściegiem pocztowym podług ryciny. Desenik ten może być także wykonany na materji i może służyć na woreczki do roboty, poduszki do śpilek, oraz na inne drobne przedmioty.



Nr 9. Część ozdoby z paciorek do naszyjnika r. 7 w B. Nr 52. Wielkość naturalna.

### Czepeczek dla starszych pań.

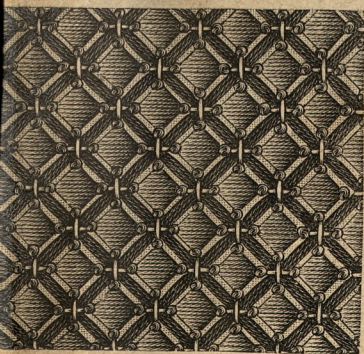
Rycina Nr 17. Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 36

Czepeczek z czarnej jedwabnej gazy i takiej koronki, przerabianej złotą nitką, z przodu po lewej stronie przybrany kokardą z gazowej złotej wstążki, 8 centim. szerokiej; taka sama kokarda pod brodą, łączy koronkowe końce czepeczka. Na ten czepeczek potrzebny 118 centim. długi kawałek gazy podwójnie złożonej, 17 cent. szeroki, który należy z jednej strony, od środka ku końcom ściąć skośnie i obszyć koronką 12 cent. szeroką. Ułożywszy gazę w kontrafałdki z przodu podług ryciny, przymocować takowe na foremce wyciętej podług fig. 36, poczem koronkę upiąć zrzecznie, a końce przeprowadzić do przodu.

### Toczek dla młodych paniel.

Rycina Nr 18.

Na podstawie ze sztywnego tiulu, 54 cent. obwodu, a 4 centimet. wysokości mającej,



Nr 15. Desen na tło lub rzucik do haftu płaskim, krzyżowym, supełkowym i pocztowym ściegiem.

obszytej w około drutem, ułożona w fałdy kalotka z miękkiego filcu brązowego. Riusza z brązowego aksamitu otacza główkę, a całość zdobią ptaszki kolorowe, powpinane fantazyjnie podług ryciny.

### Kapelusz dla młodych pań.

Rycina Nr 19.

Kapelusz z popielatego filcu, ze śpiczastą nieco główką, 13 cent. wysoką i rondkiem 7 i pół centim. szerokim, przybrany wstążką atlasową o morowych brzegach, 6 i pół centim. szeroką. Rondko z tyłu trzy razy wgięte, podszyte jest



Plecy. Nr 11 i 12, Rotonda z wełnianego materiału. Przód. Krój i opis pier. str. tabl. Nr I, fig. 1-4.

gładko popielatym repsem jedwabnym i przybrane w koło wypustką z aksamitu, tego samego koloru. Pukle z wstążki i duże strusie pióro cieniowane, zdobią kapelusz podług ryciny.

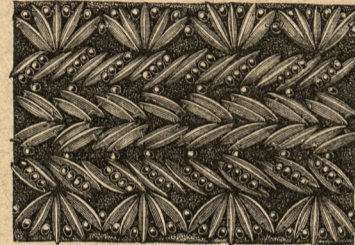
### Ubranko dla młodych pań.

Rycina Nr 20.

Podstawkę stanowi kółko z petynety, 8½ cent. średnicy mające, obszyte agramanem i objęte ukosem jedwabnym, czarną koronką na 8 centim. szeroką, naszywa się podstawkę w około, układając w kontrafałdki. Gałązka sztucznych kwiatów, oraz grelotki złote i dżetowe dopełniają całości ubranka.

### Strojny czepeczek z koronki i wstążki; kołnierzyk z koronki, krepy i wstążki.

Rycina Nr 21.



Nr 10. Część haftu na kołnierzyk ryc. 19 w Bl. Nr 52. Wielkość naturalna.

Podstawka z petynety 30 cent. długo, w środku 5 i pół cent. szeroka, z boków ścięta, agramanem obszyta, pokryta morową różową wstążką, 6 i pół c. szeroką, a przybrana koronką kremową podług ryciny. Trzy kokardki: pąsowa, różowa i zielona zdobią czepeczek na przodzie. Oszewka kołnierzyka 41 cent. długa, a 4 cent. wysoka, z tiulowej koronki, 8 cent. szerokiej, przykryty jest krepą lekko ułożoną i przybrana barbką koronkową, naszyta perłami woskowymi. Pukielki z wstążki „serge“ kremowego koloru, 2 centim. szerokiej, zdobią kołnierzyk z przodu i z boków, z tyłu kokardka z tejsze wstążki, przykrywa zapięcie kołnierza.

### Ubranko z wstążki i koronki, chusteczka z krepy i koronki.

Rycina Nr 22. Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25.

Na to ubranko potrzeba 2 metry niebieskiej atlasowej wstążki, 9 cent. szerokiej i ¾ metra jedwabnej gazy, haftowanej białym jedwabiem. Na podstawie wykrojonej podług fig. 25, otoczonej drucikiem i pokrytej niebieską materją, układają się pukle z wstążki i haftowaną gazę podług ryciny. Duża kokarda z szydełkowym przepięciem, zdobi ubranko na przodzie. Na chusteczce potrzeba krepy koloru kremowego, 115 cent. długiej, a 33 cent. szerokiej. Z jednej strony obszywa się krepą koronką kremowego koloru 11 cent. szeroką, poczem założywszy brzeg na prawą stronę, ułożyć krepę w 5 plisek. Agrafka metalowa służy do spięcia chusteczki.



Nr 13. Tualeta wieczorowa z aksamitu i koronki

Nr 14. Tualeta balowa dla młodej osoby.



Nr 16. Desen na tło lub rzucik do haftu krzyżowym, supełkowym i pocztowym ściegiem

## Przepisy gospodarskie.

## Winogrona w cukrze.

Duże, ładne winogrona pociąć nożyczkami od gałązek, zostawiając nieco korzonka, dla ujęcia ręką. Zrobić na funt winogron syrop z pół funta cukru, lejąc na cukier tylko pół szklanki wody, syrop powinien być gęsty do nitki, to jest dmuchnięty: powinien wybiegać z pomiędzy widelca w nitki — każde gronko umoczyć w tym ge-

## Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z makaronem kupnym „vermicelle“.
2. Paszteciki w muszelkach.
3. Sztukamięsa biała z ćwikłą lub piklami.
4. Marchewka z grzankami.
5. Zając z kompotem.



Nr 18. Toczyk dla młodych panien

Nr 17. Czepeczek dla starszych pań.  
Krój odwr. str. tabl. Nr IX fig. 36

stym cukrze i natychmiast zamoczyć w zimnej wodzie, wyjąć i układać na posmarowanym oliwą półmisku. Winogrona takie nie trzymają się jednak dłużej nad dzień jeden.

L. C.



Nr 19. Kapelusz dla młodych panien



Nr 21. Czepeczek z koronki i wstążki, kołnierzyk z koronki, krepy i wstążki.

Nr 20. Ubranko dla młodych mężatek.

Nr 22. Ubranko z wstążki i koronki, chusteczka z krepy i koronki. Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 2